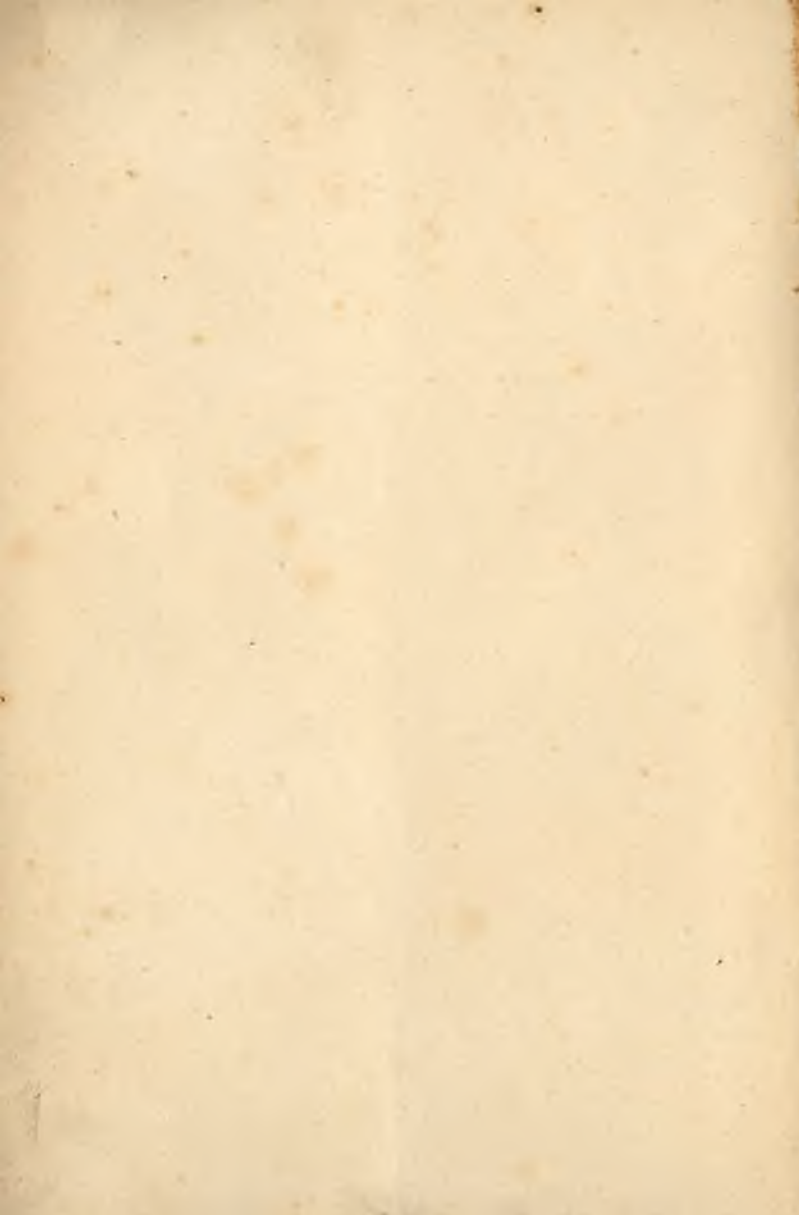


CUKROWSKI



PONSON DU TERRAIL  
**KROLOWA**

**BARYKAD**



· KRÓLOWA BARYKAD

**B. Kadziela i S-ka**  
KSIEGARNIA i CZYTELNIĄ  
Warszawa. ul. Marszałkowska 53

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

---

---

**BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE**

Redakcja i Administracja

ulica Senatorska 29.

Konto w P. K. O. 13355. Tel. 275-03.

---

---

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

w b r o s z u r z e :

Kwartalnie (13 tomów) . . . . . zł. 12.50

Półrocznie (26 tomów) . . . . . „ 24.—

w o p r a w i e .

Kwartalnie (13 tomów) . . . . . zł. 22.—

Półrocznie (26 tomów) . . . . . „ 42.—

Książka wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 145.

---

---

Redaktor i wydawca: STANISŁAW CURKOWSKI.

PONSON DU TERRAIL

K R Ó L O W A  
B A R Y K A D

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

W OPRACOWANIU

JANA MŚCIWOJA

~~B. Kodziela i S-ka~~

~~KSIĘGARNIA I CZYTELNIĄ~~

~~Warszawa, ul. Marszałkowska 53~~

1356

Redaktor i wydawca: **Stanisław Cukrowski**  
**BIBLIOTEKA NOWOŚCI w WARSZAWIE**

LP 114d2

W opracowaniu znanego autora  
JANA MŚCIWOJA ukazały się  
następujące powieści historyczne  
Ponson du Terrall'a z życia króla  
Henryka IV Bourbona:

Piękna Złotniczka,  
Trucicielka na tronie  
Noc św. Bartłomieja  
Królowa Barykad.

Wszelkie prawa tłumacza zastrzeżone

STANISŁAW OUKROWSKI.

445988

K-83/7198  
24.8. 1001-

I



Zakłady Graficzne A. Szlachowicz i S-ka  
Warszawa, Nowolipie 11. Telefon 321-71.

B. Kędziela i S-ka

KSIĘGARNIA i CZYTELNIJA  
Warszawa, ul. Marszałkowska 53

## PROLOG.

Król Francji Karol IX, przeniósł się do wieczności, przewidywania i nadzieje królowej Katarzyny nie ziszczyły się: nie jej foworyt bowiem — Franciszek, książę Alençonu, lecz Henryk III, król polski, oddziedziczył po Karolu tron francuski; król Nawarry usunął się wraz z małżonką do swych posiadłości; nowi ludzie zaczęli trząść Luwrem, słowem wszystko zmieniło się do niepoznania. Nawet królowa — matka przesyciła się już polityką i dworskimi intrygami i usunęła się do Amboise. Najbliższe jej otoczenie stanowili: Asti, sprytny i na cztery nogi kuty Włoch, — oraz jakieś zamaskowane indywiduum.

Różnie ludzie o nim mówili, ale nikt nie wiedział pewnego.

Żle się teraz działo we Francji. Już panowanie Karola IX było smutne a na schyłku tragiczne: rzeź Św. Bartłomieja legła krwawą plamą na pamięci króla, historia ochrzciła go mianem okrutnego i krwiożerczego monarchy... mimo jednak wszystkie wady, jakie posiadał, kochał tradycje rycerskie, cenił prawdomówność i szlachetność, tęsknił do prostoty i pogody ducha, potrafił przywiązać się serdecznie do tych, którzy okazali mu serce, był raczej biednym, pokrzywdzonym przez los i stosunki rodzinne „Karol-



kiem“, niż zimnym i wyrafinowanie złym Karolem Jakże odmiennym był charakter Henryka III. Zepsuty do szpiku kości, zdeprawowany, egoista, którego nic poza własnym interesem nie obchodziło, bigot, przynoszący wstyd religji i kościołowi, otaczał się gronem również zepsutych i, jak on, zdeprawowanych młokosów t. zw. „klejnocików królewskich“, o których fama głosiła bardzo brzydkie rzeczy. Po otrzymaniu wiadomości o śmierci brata, Karola IX, uciekł z Polski, aby zasiąść na tronie francuskim. rozpoczynając od razu walkę z hugonotami, „wrogami kościoła katolickiego“.

Dysydenci francuscy posiadali również, jak Św Liga, na której czele stał Gwizjusz, fundusz propagandowy na walkę z katolikami.

Pieniądze te były ukryte w Blois, gdzie się zgromadził Parlament. Przed rozpoczęciem obrad Parlamentu król Henryk bawił się w najlepsze ze swymi faworytami, nie wiele sobie robiąc z opinji publicznej i nie wiedząc wcale o tem, że Liga gotuje się do walki nietylko z „kacerzami“, lecz i z nim. Na otwarcie Parlamentu zjechał Gwizjusz z królewskim poprostu orszakim, zjechała pani de Montpensier, która, nie nawidząc Henryka III, przygotowała, jak powiadano. złote nożyce, mające służyć do obcięcia włosów królowi Francji, w chwili gdy, pobity przez Ligę, zostanie skazany na dożywotnie zamknięcie w klasztorze.

Henryk Nawajski rwał się do walki. Wierny tradycji wspierania króla francuskiego, wierzył jednak. że przyjdzie chwila, kiedy los pozwoli mu uwieńczyć czoło koroną Francji; narazie walczył jedynie z Ligą i podczas tajnej konferencji z Henrykiem III usiłował otworzyć mu oczy na stan rzeczy. Lecz król wierzył więcej podszeptom otaczającej go kliki, która dbała jedynie o własny interes, a nie o dobro państwa, i ustos-

sunkował się tak wrogo do króla Nawarry, iż nie zostawało mu nic innego, jak wyjechać, wywożąc potajemnie skarb hugonotów do Nawarry. Skarb ten był ukryty w domu, w którym zamieszkiwała przybyła do Blois księżna de Montpensier. Mimo iż nastawieni przez króla faworyci chcieli przyłapać Henryka i jego stronników, sprytni Nawarczycy uśpili księżnę i wraz z beczkami złota przebili się przez oddział straży królewskiej, uwożąc jako zakładniczkę panią de Montpensier. Podróż do Nawarry odbyła się wodą.

Przebiegła księżna użyła w podróży swych wdzięków, aby uśpić czujność Henryka i usidlić jednego z młodych Bearnńczyków. Barka, wioząca beczki ze złotem, rozbiła się i wszyscy dostali się do rąk stronników Ligi. Henryk Nawarski, jako jeniec, został przywieziony do Angers, ksiązę bowiem Alençonu był w porozumieniu z Gwizjuszami.

Szczęśliwa gwiazda jednak Henryka i tu dopomogła mu wydobyć się z matni: Katarzyna Medycejska, jego dawny wróg zaciekły, przyszła mu z pomocą. Widząc knowania Gwizjuszów, przeczuwając, że ród Walezjuszów wygaśnie, zrezygnowała z walki z Bourbonami. Wołała sprzymierzyć się z Henrykiem, niż widzieć trjumf przewrotnych książąt Lotaryńskich. Przy pomocy Renego, o którym wszyscy myśleli, że nie żyje, a który zamieszkał na dworze królowej - matki w Amboise, jako ów tajemniczy człowiek w masce, dopomogła Henrykowi Nawarskiemu wydostać się z więzienia, wydobyć zatopione wraz z barką beczki złota i przewieść je do Nerac.

Mając za sobą poparcie Katarzyny, Henryk Nawarski mógł teraz z większą pewnością walczyć z Ligą, której przywódca pod pozorem zwalczania herezji chciał zagarnąć władzę i zasiąść na tronie Francji.

## I.

Pewnego październikowego poranku 1584 r. Henryk III, który od paru dni przebywał w swym pałacu w Saint — Cloud, zbudził się bardzo późno. Przez całą noc dręczyły go złowróżbne sny i nawet po przebudzeniu nie mógł otrząsnąć się z przygnębienia.

Zbliżył się do okna i ujrzał na podwórzu zawsze wiernego tronowi Francji de Crillona, robiącego przegląd swych szwajcarów. Widok jego tchnącej prawością twarzy dodał królowi otuchy.

Wychylił się przez okno i przywołał go na swe pokoje.

— Crillonie! sam tu! do mnie!

Gdy książę wszedł do komnaty królewskiej, Henryk III, odznaczający się zabobonem i tchórzliwym usposobieniem, odezwał się do niego:

— Zawolałem cię poto, kochany Crillonie, aby z ust twych usłyszeć prawdę.

— Przyjdzie mi to z wielką łatwością, bo nie znam, co to kłamstwo. Nigdy w życiu nie skłamałem.

— Powiedz mi więc, czy jestem jeszcze królem Francji?

Książę spojrział na króla ze zdumieniem, potem pokiwał głową i szepnął:

— Wasza Królewska Mość dworuje ze mnie zupełnie tak, jakby mnie brał za jednego ze swych ukochanych „klejnocików“.

— Niestety, westchnął król, wszyscy najmilsi memu sercu zginęli z ręki tych bezbożników hugonotów w bójkę podczas obrad Parlamentu w Blois. Pozostał mi najmniej lubiany przeze mnie d'Épernon. Wracam jednak do mego pytania. Odpowiedz mi szczerze: czy jestem królem??

— Tak, Sire.

— Królem Francji?

— Tak, Sire, odparł de Crillon, drząc w duszy o rozum króla.

— Wiesz waść, śniło mi się dzisiejszej nocy, że z króla zostałem mnichem, podczas gdy na tronie francuskim rozsiadł się jakiś nieznamy samozwaniec.

— Ja również, Wasza Królewska Mość, miałem straszny sen. Śniło mi się, że dwie armje walczyły o Paryż. Na ulicach wzniesiono barykady.

— Bez mego rozkazu?

— Bez rozkazu. Wasza Królewska Mość była nieobecna, dowodziła bowiem wojskiem, oblegającym Paryż.

— A więc Paryż zbuntował się?

— I tak i nie.

— Jakto? Więc nie nazywasz rokoszem zamykanie bram przed królem?

— Ale Paryż miał królowę.

— Co takiego? Któż to był?

— Nie pamiętam jej imienia, lecz widzę ją: ma jasne włosy i błękitne oczy...

— A czy miała w ręku miecz lub berło?

— Tak — trzymała dziwaczne berło: nożyce, któremi dokonała obrzędu postrzyżyn Waszej Królewskiej Maści.

— Na Boga! Jak to dobrze, że to był sen tylko!

— Bywają sny, które się czasem sprawdzają, mruknął pochmurnie de Crillon.

Henryk uczył lęk.

— Mój Crillonie, czy nie znasz kogoś, ktoby umiał wytłomaczyć mi ten sen?

— Owszem, przed godziną jeszcze błąkał się tu jakiś tajemniczy astrolog... poszukam go i sprowadzę...

— Leć, goń i sprowadź wróża!

Gdy Crillon opuścił sypialnię królewską, król zaczął się ubierać, głośno użalając się na swój los, który, zabrawszy mu jego faworytów, skazał go na obcowanie z najdzielniejszym i najwaleczniejszym z jego poddanych, jakim jest Crillon, a który jednak nigdy jeszcze nie zdołał go rozśmieszyć.

— No bo nie zawsze umie się zabrać do rzeczy, odezwał się z wielką pewnością siebie pomagający królowi przy ubieraniu się paź.

— Co takiego?

— Zapewniam Waszą królewską Mość, że się nie mylę!

Paż, który tak bezceremonjalnie wdał się z królem w rozmowę, był wysokiego wzrostu i trochę ułomny. Nazywano go Mauvepin'em, właściwie zaś nosił imię Maurycego d'Uzès. Jego książęce pochodzenie sprawiło, iż, mimo swą pokraczną powierzchowność, został paziem królewskim.

Król przyjrzał się bacznie Mauvepin'owi; twarz śmiałka była ironiczna i drwiąca, wzrok błyszczał przebiegłością.

— Pragniesz mnie przekonać, że potrafiłbyś mnie ubawić?

— Być może.

— Jakim sposobem?

— Wasza Królewska Mość musiałaby w pierw przedzierzgnąć mnie z pazia w błazna.

— Chcesz zostać błaznem?

— Tak, błaznem królewskim. Wtedy przekonam Waszą Królewską Mość, że zasługuję na tytuł królewskiego wesołka.

W progu sypialni stanął de Crillon, donosząc, że przywiódł wróża, który zgadza się wytłomaczyć sen pod warunkiem jednak, że mu będzie pozwolone nie zdejmować maski.

— Cóż to znowu za dziwactwo??

— Zdaje mi się, że uczynił ślub.

— Może więc go nie łamać. Wpuść go, Crillonie.

---

Tajemniczy wróżbita pochylił się przed królem w pełnym godności, acz bardzo niskim, ukłonie. Z otworów maski widać było parę błyszczących, mądrych oczu.

— Waści imię? zapytał król.

— Mówiłem już panu Crillonowi, że nie mam już ani imienia, ani oblicza, przynajmniej do chwili, kiedy cel mój zostanie osiągnięty.

— A celem tym?...

— Jest zemsta, Sire.

Henryk zmarszczył brwi.

— Nie jest to chrześcijańskie uczucie, rzekł z niecierpliwością.

Wróżbita udał, że nie słyszy uczynionej przez króla uwagi i zwrócił się do niego ze słowami:

— Wasza Królewska Mość pragnie usłyszeć z mych ust tłumaczenie snu?

— Tak... snu mego i księcia de Crillona.

— Chętnie to uczynię, prosiłbym jedynie o to, abyśmy mogli pozostać w pokoju tylko we troje.

Na dany przez króla znak paziowie wyszli, a wróżbita przystąpił do króla:

— Teraz rozkazuj, Wasza Królewska Mość.

— Najpierw księżę. Mój przyjacielu, powiedz mistrzowi twój sen.

— Już to uczynił, teraz tylko muszę zbadać linje jego rąk.

Po chwili milczenia król zapytał:

— No i co waść wyczytałeś?

— Wojnę cywilną, Wasza Królewska Mość.

— Moi poddani zbuntują się przeciw mnie?

— Tak, Sire.

— A któż stanie na ich czele?

— Jasnowłosa kobieta.

— Jej imię?

— Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę usłyszeć sen Waszej Królewskiej Mości.

Henryk III pospieszył opowiedzieć mu go ze wszystkimi szczegółami. Mężczyzna w masce wysłuchał opowiadania w milczeniu, poczem zaczął studjować linje rąk. Po długim wyczekiwaniu król, pełen niepokoju, zawołał:

— Mów że waść nareszcie!

— Sen Waszej Królewskiej Mości może się ziścić, są jednak sposoby mogące zapobiec nieszczęściu... Owa blondynka, Sire, to twój najzacieklejszy wróg

— Jej imię?

— Anna Lotaryńska, księżna de Montpensier.

— A ów mężczyzna, który zajął moje miejsce?

— Henryk Gwizjusz.

— A więc przeczucia moje nie zawiodły mnie! .

Och! ci Gwizjusze!... ci księżęta Lotaryngji!

Pełen bezsilnego gniewu Henryk III tupnął nogą.

— Otóż powiadam wam, że sen się nie ziści! Nie ziści się!

— Nadmienilem już przed chwilą, że można zapobiec nieszczęściu...

— Dałby Bóg!

— Jeśli Wasza Królewska Mość zechce usłuchać rady kobiety... pięknej kobiety... bardzo pięknej jeszcze, acz w podeszłym wieku.

— Taką jest moja matka!

— Widzę jeszcze mężczyznę, którego pomoc będzie miała doniosłe znaczenie...

— Któż to taki? Pewnie mój brat, Franciszek?

— Nie, Sire. Gdy Waszej Królewskiej Mości będzie potrzebna pomoc księcia — nie będzie go już wogóle:

— A gdzież się on, u licha, podzieje?

— Nie będzie żył...

— Umrze?

— Tak, Sire.

— Jaką śmiercią?

— Czy można coś wiedzieć napewno? Najprawdopodobniej zostanie otruty.

— Któż w takim razie będzie po mnie dziedziczył tron?

— Nie widzę tego.

— Ale, czy moje panowanie... będzie długie?

— Nie pytaj mnie o to, Sire.

— Dlaczego? zapytał król.

Zanim wróżbita zdążył odpowiedzieć, w przed-sionku rozległ się hałas i gwar.

— Co się stało? zawołał król z niepokojem.

Crillon wyrzwał na korytarz i powrócił niezwłocznie z wieścią, że goniec z Château — Thierry prosi króla o posłuchanie.

— Wpuść go!

— Do sypialni wszedł pan de Nancery, zaufany księcia Franciszka.



— Jak się masz, Nancery, zawołał król, czy to mój brat przysłał cię do mnie?

— Niestety, Sire, zdaje mi się, że jest to ostatnie zlecenie, jakie Jego Książęca Mość raczył wydać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Książę jest umierający .

— A więc człowiek w masce powiedział prawdę! wykrzyknął król.

— Jego Książęca Mość prosi cię, Sire, aby zechciał być przy nim w godzinie jego zgonu.

— Lektykę! koni! rzucił król rozkaz.

Mężczyzna w masce, który stał skromnie na uboczu, wystąpił i rzekł, zwracając się do króla:

— Wasza Królewska Mość może się nie spieszyć.

— Jakto? zapytał król drżącym głosem.

— To się na nic nie zda, książę w tej chwili rozstał się ze światem.

Król wydał okrzyk, spuścił głowę na piersi. Twarz jego okryła śmiertelna bladość.

— Sam jestem... zupełnie sam! wyszeptał.

W tej chwili otworzyły się drzwi; do sypialni wtoczyła się dziwna istota, pokraczna i po cudacku przystrojona, w papierowym kasku na głowie; stwór ten zawołał:

— Wasza Królewska Mość myli się, ja jestem przy tobie, Sire.

Był to paź, Mauvepin, który, objąwszy stanowisko królewskiego wesołka, przywdział błazeński strój.

## II.

Jakkolwiek niefrasobliwy ton świeżo upieczonego błazna był nie na miejscu, król nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok jego dziwaczного stroju.

— Wasza Królewska Mość, oświadczył wesołek, nie widzę powodu do przedwczesnej rozpacz; co bowiem może gwarantować, że słowa wróżbity są prawdziwe? Nic!

Crillon i de Nancery zamienili spojrzenie. Uwaga błazna była słuszna.

Mężczyzna w masce zachował niezmacony spokój.

Król, który bał się wszelkich wzruszeń, ucieszył się ze sposobności odsunięcia od siebie okazji do zmartwienia. To też z radością w głosie rzekł do Mauvepina:

— Wiesz, że może i masz rację, mój mały.

— Napewno mam rację, Sire.

— No bo przecież nie mam żadnej pewności, że mój brat, książę Andegaweński, umarł.

— Sire, wtrącił de Nancery, Jego Księżęca Mość jest niebezpiecznie chory.

— Ulecymy go, odparł z powagą Mauvepin.

— Ty go ulecysz?

— Nawet gdyby zmarł, wskrzeszę go.

Crillon, słuchając tych przechwałek, wzruszył ramionami.

— Sire, zabrał głos, poprosiłbym Waszą Królewską Mość o przypomnienie panu Maurycemu d' Uzès że jego ojciec, a mój brat po mieczu, nie był ani błaznem, ani medykiem, ani cudotwórcą.

— Ejże, mój szpakowaty rycerzu! a jeśli dowiodę ci, że nie masz racji! zawołał zuchwale Mauvepin, widząc na ustach króla uśmiech.

— W takim razie, odparł de Crillon, nabiorę przeświadczenia, że syn barona d' Uzès, za którego pan się podajesz, został przez niańkę zamieniony na syna przewoźnika lub kupca.

Nauczka, dana zuchwalcowi, była ostra, nie zmieszalo go to jednak, zwrócił się bowiem do króla z przesadnym ubolewaniem:

— Współczuję wielce z Waszą Królewską Mością, gdybyś bowiem, Sire, miał na swym dworze dwóch takich kaznodziejów, jak pan de Crillon, umarłbyś z nudów po paru miesiącach.

— Mój mały, ozwał się de Crillon z uśmiechem, pełnym pobłażliwej wzgardy, jakkolwiek zazwyczaj nie jestem dowcipny, dziś będę nim.

— Przyjdzie to panu z trudnością.

— Może... wobec tego że zostałeś błaznem, pozwól, że ci coś ofiaruję.

— Cóż takiego?

— Grzechotkę... z warunkiem, że ci ją przypnę na plecach w okolicy jednej z twych łopatek, tej, która mi się nie podoba.

Mauvepin przygryzł usta.

— Czy to ma znaczyć, że jestem garbaty? zapytał, błędąc z gniewu.

— Bynajmniej, mój drogi, garbusi bowiem odznaczają się rozumem i dowcipem...

— A więc ja...

— A ty jesteś tylko parodją garbusa.

— Brawo, Crillonie! zawołał król, wybuchając śmiechem.

Mauvepin spojrział na Crillona zezem, nic jednak nie odpowiedział na ostrą przymówkę pułkownika i zwrócił się do wróżbity.

— Może zechcesz pan wywróżyć mi przyszłość, mości czarodzieju.

— Chętnie! Przede wszystkim będziesz pan obity...

— Jakto? Przez kogo?

— Przez tych, względem których okażesz się zuchwwały.

— To się jeszcze pokaże... mój panie... noszę broń nie od parady.

— Cóż kiedy pańska broń nie na wiele się panu przyda; ulegnie ona takiej samej metamorfozie, jak pański duch.

— Nie rozumiem.

— Zamieni się ze szpady w drażek linoskoczka, jak pańska dusza szlachcica przeistoczyła się w duszę błazna.

Z temi słowy odwrócił się do Mauvepina plecami i, nie przyjmując od króla żadnej za wróżbę zapłaty, oddalił się.

Król pozostał niezdecydowany. Nie wiedział, czy ma wierzyć wróżbie i udać się niezwłocznie do Château-Thierry, czy też nie wierzyć i pozostać w Paryżu.

Mauvepin jednak zaczął doradzać jazdę w każdym wypadku. Wiedząc o tem, że manją króla były procesje, zaczął rozwodzić się nad tem, jaki należałoby urządzić księciu pogrzeb na wypadek śmierci.

Król zaczął mówić swoje, błazen swoje... Spór ten pochłonał zupełnie uwagę Henryka III.

Nagle pod otwartem oknem rozległo się donośne wołanie:

— Ofiarujcie coś łaskawie na klasztor biednych dominikanów!

Głos był młody i świeży.

Król wyjrzał oknem i dostrzegł młodego mnicha, którego pałający jakimś straszliwym mistycyzmem wzrok zwarł się ze wzrokiem króla.

Dziwne przecucie nieszczęścia wstrząsnęło Henrykiem. Cofnął się od okna, szepcząc:

— Och! cóż to za wstrętny mnich!

Mauvepin, patrząc na braciszka zakonnego, szepnął:

— Ale ja go znam... to Kubuś... Jak się masz, Kubusiu! Jak się ma twój kłapouch?

### III.

Mnich stał ciągle pod oknem, wołając:

— Miłosierni ludzie, ofiarujcie, co łaska, na ubogi klasztor dominikanów.

Henryk III, zdenerwowany tem wołaniem, zwrócił się do Mauvepina, polecając mu zanieść braciszкови zakonnemu trzy pistole na odczepnego.

— Po udzieleniu mu jałmużny, każesz żołnierzom sprać go dokumentnie! Jest to obrzydliwy mnich!

Zanim przezorny Crillon zdążył ułagodzić wybuch królewskiego gniewu, Mauvepin opuścił pokój.

Nowy wesolek królewski miał złe serce. Z uciechą więc wielką polecił żołdakom, grającym na wartowni w kości, aby sprawili zakonnikowi, stojącemu pod bramą, dobrą łaźnię.

— Król tak chce! dodał, widząc niepewne miny landsknechtów.

Rozkaz ten był powitany wybuchami głośnego śmiechu. Żołnierze wybiegli przed bramę i otoczyli zwartem kołem siedzącego na osiołku mnicha; Mauvepin wręczył kwestarzowi datek królewski, a żołdacy, przedrwiwając i rycząc na całe gardło z uciechy, zwlekli braciszka z grzbietu jego rumaka i zaczęli okładać go razami.

Przestraszony osiołek pogalopował przed siebie, wywijając ogonem, braciszek zakonny krzyczał

i płakał, wydzierając się z rąk swych oprawców; Crillon i Nancery przyglądali się całej tej niesmacznej scenie w posepnem milczeniu, a król i jego błazen... *śnuli się.*

Wreszcie jeden z pośród żołnierzy wrzucił biednego Kubusia do Sekwany, a gdy zaczął tonąć, wyłowił go z wody, wdział mu na pokrwawiony grzbiet zdarty podczas egzekucji habit, inni żołnierze złapali osła, wreszcie zmuszono mnicha, by dosiadł swego rumaka na opak, t. j. twarzą ku ogonowi, poczem jeden z landsknechtów, zaczął oprowadzać osła wraz z jeźdźcem dokoła murów Luwru.

Mnich ciągle płakał, a król śmiał się.

W pewnej jednak chwili, gdy wzrok jego padł na posepną i bladą twarz Crillona, przyszło nań opamiętanie. Zawstydził się swego okrucieństwa, uśmiech znikł z jego twarzy i szepnął, spuszczać oczy:

— Oszalałem! te wszystkie sny, wróżby i czarodziejstwa przyprawiły mnie o obłąd.

— Mam poważną obawę, Sire, że tak jest istotnie, bąknął sucho Crillon.

Król zamilkł, po chwili zaś wychylił się przez okno i zaczął wołać na Mauvepina:

— Dosyć! Dosyć!

Żołnierze usłuchali rozkazu, braciszek usadowił się normalnie na swym osiołku, król zaś rzucił mu przez okno kieszkę, pełną złota.

Mnich ani spojrział na królewski datek.

— Zabierz to! zawołał Mauvepin, wskazując na kieszkę.

Braciszek jednak nie kwapił się z przyjęciem jałmużny, podniósł wzrok na króla, który stał w oknie, a wzrok ten zapalał tak straszną nienawiścią, że król zadrżał i wyszeptał znowu:

— Och! cóż to za szkaradny mnich!

#### IV.

W godzinę po owej scenie król Henryk III jechał lektyką do Paryża, złożyć wizytę królowej-matce, aby wraz z nią udać się do Château-Thierry.

Książę de Crillon na czele oddziału swych szwajcarów eskortował lektykę królewską.

Mauvepin zupełnie bezceremonjalnie usadowił się w lektyce.

Nagle w pobliżu wsi de Passy ujrzano pasącego się na łące osła, a przy nim obitego przez landsknechtów mnicha.

Ujrawszy lektykę królewską braciszek zakorny podniósł głowę i spojrział na króla z taką nienawiścią, że ten odwrócił się w stronę Mauvepin'a i szepnął raz jeszcze:

— Znowu ten szkaradny mnich! Boję się go!

Braciszek odprowadził spojrzeniem oddalający się orszak; twarz jego wykrzywiła się gniewem, pogroził pięścią i syknął:

— Czekał! odpłacę ja ci!

Dosiadł osła i pojechał do klasztoru. Osioł, noszący imię Baltazara, minawszy bramę miasta, skierował się w stronę oberży Malicana.

Jakkolwiek klasztor O. O. Dominikanów posiadał



kilku kwestarzy, osioł był tylko jeden, kwestarze zaś w ostatnich czasach zaszczykali swą obecnością oberżę poczciwego Bearneńczyka. Po pewnej bójce, jaką stoczyli zwycięsko ludzie Gwizjusza z królewskimi żołnierzami, coraz więcej stronników katolicyzmu zaglądało do Malicana, a że każdy klient, który ma pełną kiesę, jest przez właściciela oberży dobrze widziany, więc i Malican wzdychał w duszy, lecz pełen uprzejmości, napełniał kubki nowym, acz nieco odmiennym od dawnych klientów, gościom.

Baltazar, który przywoził na swym grzbiecie do oberży brata Bazylego, przezwanego bratem Niedzielą, brata Antoniego, innemi słowy brata Czwartka, podreptał do oberży z braciszkiem Kubusiem — albo, inaczej mówiąc, z braciszkiem Piątkiem.

W przestronnej i chłodnej sali gospody piło i śpiewało kilku Lotaryńczyków.

Przy innym stole ucztowała brać zakonna.

Wszyscy urągali królowi Francji, darząc go różnemi niezbyt, miłemi przezwiskami; mnisi sypali złorzeczenia na głowę króla Nawarry, chrzcząc go mianem kacerza i bezbożnika.

Kubuś usiadł przy stole i, zwracając się do żołnierzy, rzekł:

— Żaden z was, moi panowie, nie nienawidzi tak króla Francji, jak ja.

— He! he! dobrze wiedzieć! zawołali żołnierze chórem.

Braciszek Kubuś porwał za olbrzymi nóż, służący do krajania szynki, ścisnął go mocno w garści i syknął:

— Nienawidzę go tak silnie, że, gdybym tylko mógł, wbiłbym mu ostrze tego noża w brzuch z największą rozkoszą!

— A za cóż go tak nienawidzisz? zapytał jakiś Lotaryńczyk z siwiejącą brodą.

Zamiast odpowiedzi braciszek obnażył swe pokrwawione plecy.

Wszyscy skupili się dokoła poszkodowanego, który opowiedział przygodę, jaka go spotkała w Saint-Cloud.

Wtedy jeden z Lotaryńczyków, który dotychczas siedział spokojnie na uboczu, zbliżył się do mnicha ze słowami:

— Jak się nazywasz?

— Jakób.

— Skąd pochodzisz?

— Z Paryża.

— Jak ma na imię twój ojciec?

— Clément.

— Co skłoniło cię do wstąpienia do klasztoru?

— Lenistwo.

Słuchacze wybuchnęli głośnym śmiechem, Lotaryńczyk badał Kubusia dalej.

— Jesteś dominikaninem?

— Tak.

— Jakie pełnisz funkcje w klasztorze?

— Jestem kwestarzem.

Lotaryńczyk rozejrzał się po sali.

— Czy jest tu jakiś dominikanin? zapytał podniesionym głosem.

— Jest! zawołał jeden z mnichów, pijących przy stole.

— Zaopiekuj się osłem i odprowadź go do klasztoru, ja zabieram ze sobą tego braciszka. Pójdź za mną!

Słowa te były wypowiedziane tak rozkazującym tonem, że braciszek przywdział swój habit i rzekł pokornie:

— Idę, panie.

Nieznajomy poprowadził go wąskimi i ciemnymi uliczkami; wreszcie stanęli przed piękną, wysoką kamienicą. Nieznajomy zapukał trzykrotnie, brama wejściowa uchyliła się; znaleźli się na przestronnem podwórzu, pełnem ludzi najrozmaitszego autoramentu: mieszczanie miasta Paryża, żołnierze, na których ramieniu widniał biały krzyż, herb Lotaryngji, biedacy nieokreślonej kondycji, a wśród nich spasty, błyszczący, jak świeżo wyszorowany rondel, mnich, w którym braciszek zakonny ku swemu wielkiemu przerażeniu poznał swego przeora, ojca Grzegorza.

Lotaryńczyk kazał Kubusiowi poczekać, a sam otworzył małe drzwiczki, wiodące do wnętrza kamienicy i zniknął w nich.

W komnacie, do której wszedł, znajdowała się księżniczka Anna Lotaryńska.

— Jak się masz, Eryku, powitała przybyłego uprzejmym uśmiechem.

Skłonił się i zaczął opowiadać przygodę Kubusia. Anna słuchała go w milczeniu, wyraz jej oczu jedynie zdradzał, że opowiadanie to zajęło ją bardzo.

Gdy Eryk de Crèvecoeur skończył opowiadanie, zapytała go.

— Gdzie jest mnich?

— W podwórzu!

— Dobrze.

Otworzyła potajemne okienko w ścianie i wyjrzała. Posępne spojrzenie Jakóba wywołało na jej twarzy uśmiech zadowolenia.

— Przyda nam się ten braciszek, rzekła.

— Założyłbym się, że wyznaczyłaś mu już pani rolę w przyszłych wypadkach.

— Może...

Braciszek czekał cierpliwie...

Wreszcie nieznamy powrócił w towarzystwie dwóch, ślicznie ubranych paziów, pod których opiekę oddała Kubusia, polecając im dbać o to, by goście na niczem nie zbywało.

Paziowie wymienili swe imiona: Amadeusz i Serafin — i zaprowadzili Jakóba, do pokoju, w którym stał suto zastawiony stół.

Braciszek zakonny przetarł oczy; wszystko, co się z nim działo, wydało mu się snem.

— Gdzie jestem? zapytał.

— Dowiesz się o tem później, teraz jedz i pij! odparł Serafin, sadzając go przy stole.

Zaczęła się uczta.

Braciszek jadł, aż mu się uszy trzęsły, paziowie dokładali mu i dolewali wina, a gdy zaczął narzekać na swój nędzny żywot w klasztorze, oświadczyli, że, jeśli tylko zechce, może zostać, jak oni, paziem, pod jednym warunkiem, by nie poprzestał nienawidzić króla Henryka III-go i...

— I co dalej? zapytał zachwycony.

— To się pokaże... na razie ciśnij tylko twój habit w pokrzywy! zawołał Serafin, wstając od stołu. Przywołany przez niego lokaj wniósł całkowity strój paziowski, poczem zaczęto biednego braciszka myć, czesać i przebierać.

Gdy, już zupełnie ubrany, przejrzał się w lustrze, nie mógł wyjść ze zdumienia, że ten śliczny, strojny pazik, to on sam, braciszek zakonny, Kubuś, we własnej osobie.

Znowu zaczęto ucztować.

Wkrótce Kubuś był zupełnie pijany.

Wtedy Serafin zadzwonił; potajemne podwoje otwarły się, ukazując wewnątrz olbrzymiej sali, zabrzmiały tony niewidzialnej orkiestry, na środek sałi

wybiegło kilkanaście młodych, pięknych dziewcząt, w strojach hinduskich bajaderek. Zaczęły tańczyć. zbliżając się od czasu do czasu do paziów i braciszka zakonnego, wreszcie otoczyły stół barwnem kołem, śmiejąc się i błyskając oczami, coraz to któraś zarzucała ramiona na szyję ucztujących, darząc ich pocałunkiem.

Oszołomiony winem i widokiem pięknych kobiet Kubuś nie wiedział, czy wszystko, co widzi i przeżywa, jest jawą, czy też senną marą.

Po skończonym tańcu bajaderek wybiegły z sali. drzwi zamknęły się, zapadła cisza.

Kubuś ocknął się z zachwytu i westchnął.

— Dlaczego wzdychasz, Kubusiu? zapytał Amadeusz.

— Na myśl o klasztorze.

— Możesz tam nie wracać.

— Naprawdę?

Amadeusz klasnął w dłonie; do pokoju wszedł mężczyzna w stroju astrologa.

— Chcesz poznać twą przyszłość? zapytał braciszka zakonnego.

— Naturalnie.

Astrolog zaczął studjować linje jego ręki.

— Zostaniesz szlachcicem, rzekł po chwili.

— Nie może być?!

— Posiędziesz bogactwa... Będziesz kochany...

— Przez kogo?

— Przez wpływową i piękną kobietę, która uczy ni cię równym sobie. Chcesz zobaczyć jej widmo?

— Widmo? zapytał mnich zdziwiony.

— Tak, bo ciało jej jest jeszcze daleko.

To mówiąc, nakreślił na podłodze kilka magicznych kół, szeptać jakieś tajemnicze słowa; nagle cały pokój pograżył się w ciemności. Wreszcie mrok

rozproszył się, ściana pokoju rozsunała się, Jakób wydał okrzyk i padł na kolana.

Otoczona migotliwym, złocistym światłem, stanęła w głębi pokoju postać pięknej, jasnowłosej kobiety.

— Oto ona! rzekł astrolog.

Widmo znikło.

Wszystko, co się działo z Kubusiem od chwili przekroczenia progów tajemniczego pokoju: wino, taniec, wreszcie uroczne widmo tej, która miała go podnieść do siebie, wszystko to tak wstrząsnęło jego nerwami, że padł, jak długi, na podłogę, tracąc przytomność.



## V.

Zbudził się w swej celi klasztornej.

Przetarł oczy i zaczął sobie przypominać wszystko, co się z nim działo od chwili, gdy został obity przez żołdaków. Plecy bolały go jeszcze od cięgow, a więc przygody jego nie były snem.

Zaczęła go dręczyć ciekawość, jak się nazywa zachwycająca kobieta, której widmo ukazał mu astrolog. Wobec tego, że trudno mu było rozwiązać tę zagadkę, postanowił wyjść na podwórzec klasztorny.

Tam jednak zaczęły się nowe dziwy: wszyscy bracia zakonnici na jego widok jęli usuwać mu się z drogi. Najwyraźniej stroniono od niego, jak od zapowietrzonego.

Nagle ujrzał zbliżającego się do siebie brata cenzora, którego czynności polegały na straży nad obyczajnością w klasztorze.

Surowy dostojnik klasztorny przystąpił do bratka kwestarza i oświadczył groźnym tonem:

— Mój bracie, wołaj przeora Grzegorza jest, abyś został zamknięty w celi więziennej na miesiąc — gdzie będziesz siedział o chlebie i wodzie.

— Lecz jakąż zbrodnię przypisują mi? zawołał zrozpaczony braciszek.

— Prócz tego wyznaczono ci co rano i co wieczór karę biczowania.

— Najświętsza Panno! ależ za co, na Boga?

— Zgrzeszyłeś, mój bracie.

— Jak?

— Upiłeś się.

Braciszek Kubaś westchnął, nie mógł jednak powściągnąć uśmiechu i rzucił spojrzenie na brata cenzora.

Westchnienie było przyznaniem się do winy, uśmiech mówił o tem, że wie dobrze, iż inni bracia zakonni nieraz zaglądają doszklanki, spojrzenie zaś wyrażało zdziwienie, że cenzor chce ukarać go za grzech, popełniany przez wszystkich.

Widocznie przełożony zauważył to spojrzenie, pośpieszył bowiem dodać:

— Upić się nie jest jeszcze tak bardzo wielkim grzechem, ale działać na szkodę klasztoru jest grzechem nie do darowania.

— Ja działałem na niekorzyść klasztoru? powtórzył ze zdumieniem Kubaś.

— Tak. Otrzymałeś od króla datek.

— Otrzymałem.

— Po drodze zebrałeś coś jeszcze — nieprawdaż?

— Owszem: dziesięć szelągów w Auteuil, kilka kromek chleba w Passy i kawałek zjełczałej kiełbasy w Chaillôt.

— I co się z tem wszystkim stało?

— Nie wiem... brat Ambroży, który był w oberży Malicana, miał odprowadzić do klasztoru Baltazara...

— To fałsz! Prawdą jest to, żeś powrócił wczorajszego wieczoru zupełnie pijany, ledwo mogąc się



utrzymać na grzbiecie osła; sakwy zaś jałmużniczej nie było wcale... znikła...

— Ależ to nieprawda! Jestem pewny, że nie ja odprowadziłem Baltazara.

— Ty.

— Nie wróciłem do klasztoru wczorajszego wieczoru.

— Kiedyż więc?

— Ja nie wiem. Ale zaprowadź mnie bracie do ojca przełożonego, on da świadectwo prawdzie, spotkałem się z nim bowiem w pewnym domu...

— Z ojcem Grzegorzem?

— Tak.

Skłonił się i zaczął opowiadać przygodę Kubusia. za rękę i poprowadził go do przeora. Brat Jakób pełen męstwa zaczął opowiadać przełożonemu wszystkie swe przygody, aż do chwili spotkania się z ojcem Grzegorzem w tajemniczym domu.

Przeor jednak przerwał opowiadanie okrzykiem:

— Mój bracie, jesteś szalony.

— Ja?

— Tak, od ośmiu bowiem dni, nie wygadałem się poza mury klasztoru.

— Ależ ja wyraźnie widziałem, Waszą Miłość.

— Toś źle widział! przerwał mu ostro przeor, potem, zwracając się do brata cenzora, rzekł:

— Ten biedak nie wytrzeźwiał jeszcze po swem pijaństwie. Zaprowadź go, bracie, do celi więziennej i osadź go tam o chlebie i wodzie.

. . . . .

Po długim i bezowocnym rozmyślaniu nad tem, co mu się przytrafiło, biedny braciszek uczuł straszne pragnienie. Porwał więc za dzban z wodą i zaczął pić. Woda miała wprawdzie dziwny jakiś smak, mimo

to jednak brat Jakób pił chciwie, potem wyciągnął się, jak mógł najwygodniej, na ziemi i zaczął marzyć o uroczej zjawie, której miłość obiecał mu wróżbita.

Zbudził się od światła pochodni, które padało mu na twarz.

Zerwał się z ziemi, usiadł i, przetarłszy oczy, ujrzał pazia Amadeusza:

— Przebierz się prędko, mój drogi, w te oto suknie, porzuć twój brudny i podarty habit i pójdz za mną; mamy dziś bardzo dużo do roboty.

W oka mgnieniu był już ubrany, poczem opuścili celę więzienną.

Idąc przez podwórze klasztorne, Amadeusz usiłował przekonać Jakóba, że jego powrót do klasztoru, uwieszenie i opuszczenie celi jest tylko snem.

— Ależ ja myślę, chodzę, rozmawiam i mam oczy otwarte!

— To ci się tylko zdaje.

— Niepodobna?!

— Tak jest jednak. Wyobraziłeś sobie we śnie, że jesteś Jakóbem Clément, bratem zakonnym, a tymczasem to wszystko zdaje ci się jedynie, masz bowiem na imię Amaury, ojciec twój jest szlachcicem, a ty — paziem księżny de Montpensier.

— A jak się nazywa mój ojciec?

— Pan de Pontarlier.

Gdy się znaleźli poza furką klasztorną, powiew wiatru oświeżył zgorączkowaną twarz Jakóba, zaczął z rozkoszą wciągać w płuca świeże powietrze, co widząc Amadeusz, rzekł:

— Mam wrażenie, że za chwilę zbudzisz się z twego ciężkiego snu.

— A ja mam wrażenie, że drwisz sobie ze mnie, mój drogi, odparł Kubuś z odcieniem gniewu w głosie.

Amadeusz nic mu nie odpowiedział i przyśpieszył kroku, Kubuś uczynił to samo, nagle wydał okrzyk, potknął się, upadł i stoczył się po schodach w tak zwaną ślepa uliczkę, otoczoną ciemnymi, ponurymi domami.

Amadeusz zniknął, nie pomogło nawoływanie i rozglądanie się... był sam. Jednocześnie uczuł, że jakiś tajemnicza niemoc ogarnia całą jego istotę. Oczywiście mimo cały wysiłek nie poddania się snu, zamknęły się, padł na ziemię i usnął. Teraz już śnił naprawdę, a we śnie był znowu braciszkiem Jakóbem i jeździł na Baltazarze po kweście.

Dniało już, gdy uczuł, że ktoś potrząsa nim gwałtownie. Otworzył oczy i zobaczył łucznika, przyglądającego mu się z uśmiechem.

— Nie wiedziałem, panie Amaury, że potrafisz pan sypiać pod gołym niebem.

— Amaury?!

— No tak... nie zechcesz pan chyba zaprzeczać, żeś jest paziem Amaury.

Kubuś spojrzał na łucznika, obrzucił swe ubranie spojrzeniem, i zobaczył, że ma na sobie bogaty paziowski strój...

— Nie wiem już teraz, czy jestem mnichem, czy też paziem? Czy jestem przytomny, czy też niespełna rozumu?! wykrzyknął zrozpaczony.

— Nie wiem, czy masz pan jeszcze bzika, ale na pewno miałeś go.

— Ja miałem bzika?

— Byłeś pan skończonym, stuprocentowym wariatem.

Jakób szeroko otworzył oczy.

— Powiedz mi pan jednak, czy mam na imię Amaury, czy też Jakób? Czy jestem paziem, czy mnichem?

— Jesteś pan paziem.

— Czyim?

— Księżny de Montpensier.

— Ależ, ja jej nie znam; nigdy jej nie widziałem na oczy!

— Mój Boże, odparł z westchnieniem łucznik; tu tkwi całe źródło twego obłędu, mój drogi panie, wyobraziłeś sobie, że jesteś zakochany w pięknej, jasnowłosej damie.

Jakób przypomniał sobie widmo nieznaney kobiety.

Łucznik ciągnął dalej:

— Miłość ta przyprawiła cię o obłęd. Wyobraziłeś sobie, że jesteś braciszkiem zakonnym z klasztoru O. O. Dominikanów i co wieczór zrzucałeś ze siebie szaty, przysługujące ci z prawa i urodzenia, i przywdziewałeś habit zakonny.

— Może, może... jednego tylko mi nie zaprzeczysz, że tej nocy byłem w klasztorze i że paż Amadeusz zabrał mnie stamtąd.

— Nie wiem, jak tam było z tym klasztorem, ale Amadeusz nie mógł pana stamtąd wyprowadzić, bo niema go wcale w Paryżu, bawi od piętnastu dni w Nancy i ma powrócić dziś, albo jutro, a jeśli mi pan nie wierzysz, chodź ze mną do pobliskiej oberży, w której zbierają się żołnierze lotaryńscy, przekonasz się wtedy, czy cię poznają.

Gdy stanęli w progu oberży, ujrzeli trzech żołdaków, grających w kości.

— Widzisz, rzekł jeden z nich, idzie pan Amaury; poczem odstąpił głowę i rzekł:

— Panie Amaury, ładnie się pan skuł dzisiejszej nocy!

— Ja.

— Tak, pan.

— Skąd wiecie o tem?

— Widziałem pana już po zgaszeniu ogni, jakieś szedł, zataczając się...

W tejże chwili w drzwiach oberży stanął jakiś młodzieniec, cały okryty kurzem, snać powracający z długiej podróży.

Kubuś poznał w nim pazia Amadeusza.

— Amaury! Mój drogi! Jak się masz! wykrzyknął Amadeusz, pobiegając do braciszka zakonnego, tak dawnośmy się nie widzieli!

— Jakto? alboż nie byłeś u mnie tej nocy w klasztorze?

— Śni ci się chyba! Widzisz przecie, że wracam z podróży: byłem w Château-Thierry.

Żołdak ze śmiechem opowiedział przygodę rzekomego pazia Amadeuszowi, który wysłuchał jej z udanem współczuciem, potem westchnął i szepnął:

— Biedny chłopiec! do czego jednak może doprowadzić człowieka miłość!

Słyszac to Kubuś zadrzał i znowu wrócił myślami do tajemniczej blondynki.

Tymczasem Amadeusz zamówił śniadanie i zaczął braciszkowi zakonnemu opowiadać wrażenia ze swej podróży. Dykteryjki, któremi przeplatał swe opowiadanie, wino i smaczny posiłek wszystko to razem rozproszyło czarne myśli brata Jakóba, to też, w chwili gdy wstał od stołu, wierzył święcie i w swe szlacheckie pochodzenie, i w godność pazia, jaką rzekomo pias tował, i w swój sen o klasztorze.

Zaczął wypytywać Amadeusza o księżną i utyskiwać nad tem, że jest nieszczęśliwy, bo nigdy nie pośiedzie tej, którą kocha.

Paż roześmiał się figlarnie i odpowiedział:

— Mężczyzna, jeśli bardzo chce, zawsze może dopiąć swego. Uważasz, że mimo tve szlachectwo.

stoi ona o kilka szczebli wyżej od ciebie; — nie widzę powodu do rozpacz. Musisz tylko wspiąć się nieco wyżej a zrównasz się z nią.

— Byłoby to możliwem?

— Dla chcącego nic trudnego, mój drogi.

Rozmowę ich przerwało ukazanie się spasłego pięćdziesięcioletniego mężczyzny w stroju kapitana, w którym, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, Jakób poznał brata Antoniego, kwestarza, noszącego przezwisko brata Niedzieli.

Na jego widok żołnierze powstali z miejsc i pozdrowili go okrzykiem:

— Dzień dobry, panie kapitanie!

— Kapitanie! zawołał zdumiony braciszek zakonny. A więc zostaliście kapitanem, bracie Antoni?

Kapitan poklepał Jakuba po ramieniu i rzekł z politowaniem:

— Zawsze nim byłem, mój biedny Amaury.

— Nieprawda, byliście mnichem, kwestarzem.

— Dla ciebie tylko przywdziewałem od czasu do czasu habit, jestem i byłem Hektorem de Pontarlier, twoim stryjem. Piastuję normalnie godność kapitana, służąc domowi książąt Lotaryńskich.

— Ale...

— Zrozumiesz to wszystko, gdy pozbędziesz się do reszty twej manji. A teraz chodźmy do pałacu księżny de Mantpensier.

Gdy zbliżyli się do miejsca przeznaczenia, Jakób poznał dom, do którego zaprowadził go nieznamy Lotaryńczyk.

Serce zaczęło mu bić gwałtownie.

W podwórzu ujrzał lektykę, przygotowaną do drogi, oraz kilka wierzchowców, grzebiących niecierpliwie ziemię.

— Czy księżna udaje się w drogę? zapytał Ama-  
deusz.

— Tak, odparł kapitan.

— Dokąd jedzie?

— Nie wiem.

— A kto ma jej towarzyszyć w tej podróży?

— Serafin i Amaury, jeśli nie dostanie nowego na-  
padu pomieszczenia zmysłów.

Jakóblem wstrząsnął radosny dreszcz, a na widok  
kobiety, która stanęła na ganku, nie mógł powstrzy-  
mać się od okrzyku radości.

Była to tajemnicza blondynka, pani jego snów.

Księżna de Montpensier zeszła ze stopni ganku  
i, ujrawszy braciszka zakonnego, zapytała go:

— No i cóż, mój biedny Amaury, odzyskałeś już  
przytomność?

Potem oparła mu rękę na ramieniu i dodała:

— Udaję się w podróż, będziesz eskortować kon-  
no moją lektykę.

Jakób, do reszty ogłupiały skoczył na konia, któ-  
rego mu podał jeden z masztalerzy.

## VI.

Król Henryk III po długim milczeniu zwrócił się do siedzącego z nim w lektyce Mauvepina:

— Mój drogi, powiedz mi, któż będzie teraz mym następcą, jeśli mój brat książę Andegaweński zmarł?

— Po pierwsze, to jeszcze nic pewnego...

— Lecz człowiek w masce...

— Mógł się omylić.

— Ale gdyby się nie omylił?...

— Wasza Królewska Mość nie ma większego zmartwienia? Mężczyzna trzydziestoletni zawsze się może postarać o następcę tronu.

Król westchnął:

— Łatwo ci mówić...

— Powiem coś Waszej Królewskiej Mości. Ota-  
czałeś się, Sire, dotychczas gronem dworaków... jakby  
to się wyrazić... o bardzo niskim poziomie moralnym,  
którzy tak wypełnili czas Waszej Królewskiej Mości,  
że nie zostało go wcale dla królowej.

— Hm! zupełnie możliwe! bąknął król.

— Otóż nie wdając się w długie wywody, powiem  
krótko, że Wasza Królewska Mości powinna zapom-  
nieć o swoich „klejnocikach“.



— Niestety, nie mam ich, hugonoci wymordowali mi ich!... westchnął król.

— Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Najwyższy czas zwrócić się do kobiety (myślę o małżonce Waszej Królewskiej Mości).

Lektyka królewska zatrzymała się przed pałacem Beauséjour, w którym zamieszkała królowa — matka po powrocie z Amboise.

Na ganku powitało króla dwóch dworzan w czerni.

— Co ma znaczyć ten strój! wykrzyknął król.

— Jesteśmy w żałobie po księciu Andegaweńskim.

— A więc człowiek w masce powiedział prawdę! rzekł król z lękiem.

— A gdzie jest królowa Katarzyna?

— Królowa — matka udała się do Château — Thierry! brzmiała odpowiedź.

— Musimy i my tam podążyć, aby zająć się uroczystościami pogrzebowymi, doradził Mauvepin.

— Tak, mój drogi, tylko nie dziś. Jestem zanadto zmęczony. Udamy się w drogę jutro.

Henryk III, wzdychając, wszedł do hotelu Beauséjour i zażądał szklanki oranżady z lodem, która była w lecie jego ulubionym napojem, potem, chcąc wypocząć po podróży, urządził sobie po obiedzie sjętę.

Gdy się przebudził, kazał przywołać przeora klasztoru imienia św. Genewefy, ojca Bazylego, aby z nim ułożyć program uroczystości.

Klasztor ten przodował w podobnych okolicznościach, dlatego też król zwrócił się do ojca Bazylego.

Konferencja trwała dobre kilka godzin, Mauvepin był na niej obecny. Ustalono w najdrobniejszych szczegółach, jacy mnisi będą poprzedzać karawan ze zwłokami, jacy będą szli za trumną, przy akompaniamencie jakich instrumentów muzycznych mają się od-

bywać pienia żałobne; zdecydowano również jakiej wielkości mają być gromnice, i jaka ma ich być ilość.

Po omówieniu wszystkich szczegółów ojciec Bazyli pożegnał króla, a Henryk III rzekł do Mauvepina: — Najwyższa pora, żebym poszedł do łóżka. jutro zaś jedziemy do Château — Thierry.

Nazajutrz orszak królewski, eskortowany przez oddział szwajcarów z Crillonem na czele, opuścił Paryż.

Słońce prażyło, skwar był nie do zniesienia. Król zaczął się skarżyć na to, że umiera z pragnienia, zatrzymano się więc na popas w małym zajęździe.

Przypadek zrządził, że w tej samej oberży popasała również księżna de Montpensier.

Kubuś, który należał do jej orszaku, wypoczywał na kupie siana, leżącej przed stajnią. Ujrawszy nadjeżdżających, zerwał się z posłania i, zdjęty strachem, ukrył się w stajni.

Król, widząc stojącą w podwórzu lektykę podróżną, zapytał zgromadzonych dokoła niej mulników do kogo należy.

— Do naszej pani, brzmiała odpowiedź.

— Jak się nazywa?

— To można pani!

— Nicponiu! zawołał Mauvepin, czy nie widzisz że mówisz z królem?

— Owszem! odparł mulnik.

— Powiedz więc, jak się nazywa twoja pani?

— Nie mogę tego uczynić.

— A to dlaczego? zapytał król.

— Bo sam nie wiem.

Naiwna odpowiedź mulnika uśmierzyła rozgnie-

wanego króla, rzucił spojrzenie na okna oberży i wydał okrzyk: w oknie stała śliczna blondynka.

Była nią pani de Montpensier.

— Kobieta, którą widziałem we śnie, szepnęła do siebie.

Pani de Mintpensier cofnęła się tak szybko, że Mauvepin jej nie zauważył.

— Wasza Królewska Mość powinna przystąpić do ataku i inną bronią pobić wroga, rzekł Mauvepin ze śmiechem.

— Zobaczymy! odparł król, wchodząc do oberży z miną zwycięscy.

Henryk III nie widział pani de Montpensier przynajmniej od jakichś ośmiu lat. Nie poznał więc jej i wziął za damę, podróżującą ze swą służbą.

W oberży powitał króla oberżysta, zajadły stronnik Gwizjuszów.

Powitał go bez zbytnej czułości:

— Wasza Królewska Mość, wielki to honor dla mej oberży, że gości Waszą Królewską Mość w swych progach, poczęstunek mój jednak będzie bardzo skromny: trochę zjełczalej słoniny i kiepskiego wina.

Król, zachwycony możliwością przygody, wpadł nagle w dobry humor, dał więc bardzo łaskawą odpowiedź:

— Dawaj tedy to kiepskie wino, bo umieram z pragnienia.

Oberżysta nasępiiony poszedł spełnić rozkaz, król zaś, dostrzegłszy kryjącego się w kącie Serafina, zażytał go:

— Jak się nazywasz, mój mały?

— Serafin, paż.

— U kogo służysz?

— Moja pani, chce podróżować incognito, Sire.

— Jako król i władca mam prawo zażądać wymienienia jej nazwiska!

— Moja pani wypędzi mnie, jeśli się dowie, że zdradziłem jej tajemnicę, a nie mogę sobie na to pozwolić, nie mam bowiem żadnego majątku. Z czego bym żył?

— Jeśli cię wypędzi, ja wezmę cię do siebie.

Serafin nie zdążył się namyśleć nad tem, co ma uczynić, gdy na salę wpadł Mauvepin, popychając przed sobą Kubusia:

— Świetny kawał! Braciszek zakonny, kwestarz, przedzierzgnięty w pazia! Boki zrywać! śmiał się na całe gardło.

Król na widok braciszka Kubusia zbladł, jak ściana. Złe przecucia opadły go znowu.

— Znowu ten mnich! zawołał z lękiem. Wygnać go!

— Dlaczego zostałeś paziem? zapytał go Mauvepin, gdy się znaleźli na podwórzu.

— Nigdy nie byłem zakonnikiem. To tylko sen... bełkotał Kubuś.

— Ach! to był tylko sen. Przekonam cię, że się mylisz, a jeśli śpisz teraz, postaram się zbudzić cię... *mój panie paziu!*

Z temi słowy zdarł mu z głowy beret z piórem i odrzucił go daleko od siebie.

W Kubusiu zagrała krew.

Dobyl szpady i rzucił się na Mauvepina.

Mauvepin poszedł za jego przykładem. Wszyscy skupili się dokoła walczących.

Król nawet stanął w progu oberży i zaczął zachęcać błazna do walki, wołając:

— Bij, zabij, tego obrzydliwego mnicha, mój klejnocie!

Mauvepin był dobrym graczem na szpady, ale

braciszek bronił się zaciekle, to też walka przeciągnęła się; błazen wpadł we wściekłość.

Król podjudzał go ciągle, wołając:

— Bij, zabij!

Wreszcie Mauvepin wytracił Kubusiowi broń z ręki, poczem przyłożył mu ostrze swej szpady do piersi.

— Zabij! wołał król.

Mauvepin jednak nie zdążył spełnić rozkazu. Crillon podbił broń Mauvepina, mówiąc:

— Czy nie rozumiesz, że król żartuje? król wie przecież, że się nie zabija bezbronnego!

Kubuś uszedł śmierci.

Król przygryzł wargi.

— Dlaczego się waść wtrącasz? zapytał księcia.

— Uczyniłem tak, jak mi nakazywał obowiązek. odparł spokojnie de Crillon.

Król nic nie odpowiedział, lecz odwrócił się do niego plecami i rzucił straży rozkaz:

— Wsadźcie na koń tego mnicha, który ośmielił się użyć broni w mej obecności, i odstawcie go do klasztoru.

Rozkaz królewski został wykonany.

Jeden z gwardzistów, Baumers, posadził braciszka przed sobą na siodle i pogalopował w stronę Paryża.

Po trzech godzinach stanęli przed furką klasztorną. Kubuś, rozmyślając nad tem, co go spotkało, doszedł do przeświadczenia, że jest jednak zakonnikiem, i że wmawiając w niego, iż tak nie jest, zadrwiono z niego haniebnie.

W podwórzu ujrzał brata Antoniego, tym razem w szatach zakonnych i z różańcem w ręku.

A więc nie był kapitanem... Nic już nie rozumiał z całej swej zawikłanej przygody.

Baumers zepchnął braciszka z siodła i rzekł do brata Antoniego:

— Oto jeden z waszych zakonników, któremu się ubrało przywdziać szaty/świeckie.

— Poznaję go, odparł brat Antoni, to nasz kwestarz, brat Jakób.

— A więc oćwiczcie go i wrzucie do celi więziennej; taką jest wola króla.

Z temi słowy zawrócił konia i odjechał.

Władze klasztorne spełniły rozkaz królewski co do joty .

Kubuś płakał, wyrzekał na swój los, wreszcie wyczerpany fizycznie i moralnie, usnął.

Lecz po przebudzeniu... nowe cuda...

Leżał znowu na sianie przed stajnią oberży, w której zatrzymała się pani de Montpensier .

Słońce zachodziło.

Jego stryj w stroju kapitana, znowu nie był bratem Antonim, lecz dzielnym wojakiem.

Zbliżył się do niego i rzekł:

— Masz twarde sen, mój kochany bratanku, śpisz od trzech godzin, jak zabity.

Kubuś podniósł się, spojrzął na swój paziowski strój, na szpadę, wiszącą przy boku, i szepnął:

— Teraz już nie wątpię w to, że jestem pomyłony.

— Niby dlaczego? zapytał brat Antoni.

— Zapewniam was, że jestem pomyłony, powtórzył z rozpaczą.

## VIII.

Gdy Baumers wziął braciszka zakonnego na siodło i odjechał, król wszedł do oberży i, zbliżywszy się do Serafina, pociągnął go za ucho:

— A więc nie powiesz mi, jak się nazywa twoja pani?

Opatrzność widocznie opiekowała się paziem. w tej samej bowiem chwili drzwi, wiodące do wewnętrznej izby, uchyliły się i król ujrzał znowu piękną nieznajomą, która wymownym gestem nakazała Serafinowi milczenie.

Drzwi zamknęły się, a Serafin odpowiedział królowi:

— Wasza Królewska Mość widzi, że nie mam prawa zdradzić tajemnicy.

— Zgoda, lecz wobec tego będziesz musiał spełnić inną powinność.

— Wola króla jest dla mnie rozkazem, rzekł Serafin, składając niski ukłon.

— Mauvepin! zawołał król, papieru, pióra i inkaustu! Żywo!

Gdy błazen spełnił rozkaz królewski, król zaczął mu dyktować list do pięknej nieznajomej. W liście tym Henryk III prosił ją o pozwolenie zawarcia z nią znajomości.

Król własnoręcznie zapieczętował pismo i wręczył je Serafinowi.

— Weź to, oddaj twej pani, a jeśli uzyskasz przychylną odpowiedź, nie pożałujesz tego.

Serafin wziął list z rąk królewskich i znikł w wewnętrznych pokojach.

Król zaczął chodzić po izbie, z niecierpliwością oczekując na odpowiedź.

Wreszcie paż powrócił, trzymając w ręku mały, uperfumowany bilecik.

Król otworzył go.

Piękna nieznamoma dziękowała za zaszczyt, jaki ją spotkał, prosiła jednak o uszanowanie jej tajemnicy i o niedowiadywanie się o to (przynajmniej dzisiaj), kim ona jest.

„Wasza Królewska Mość udaje się do Château — Thierry, jest to miejsce mego zamieszkania. Jeśli jutro Wasza Królewska Mość będzie raczyła jeszcze pamiętać o mnie, ciekawość Waszej Królewskiej Mości zostanie zaspokojona. Mój paż przybędzie jutro wieczór na zamek, gdy zacznie się ściemniać, i doręczy list od *Pokornej Sługi Waszej Królewskiej Mości*.

— Ależ to wyraźna zapowiedź schadzki! zawołał Mauvepin.

— Tak sądzisz?

— Niema najmniejszej wątpliwości!

Król, nucąc coś wesołego pod nosem, kazał zawołać de Crillona.

— Pułkowniku, ruszamy w dalszą drogę.

— Jakto? wykrzyknął Mauvepin, rezygnujemy z dalszego ciągu?

— Bynajmniej.

— Wasza Królewska Mość opuszcza oberżę, nie wiedząc, kim jest owa pani?



— Tak, nie mam serca nie spełnić jej prośby. A zresztą mam przed sobą dzień jutrzejszy.

Mauvepin mruknął pod nosem:

— Zdaje mi się, że król zapomniał zupełnie o tem, że udaje się do Château — Thierry w całkiem innym celu, niż na schadzkę...

Gdy orszak królewski wyjechał za wrota, pani de Montpensier wyjrzała oknem z za firanek i, odprowadzając króla spojrzeniem, rzekła do siebie:

— Wszystko jest na najlepszej drodze. Pojedynek błazna z Kubusiem powinien mi przynieść duże korzyści.

## IX.

Po przybyciu do Château — Thierry król, wsparty na ramieniu Mauvepina, udał się do komnaty, w której stały zwłoki księcia Andegaweńskiego.

Królowa Katarzyna w grubej żałobie klęczała przy katafalku, roniąc łzy boleści.

Henryk III zbliżył się do matki i złożył na jej czoło pocałunek, potem podszedł do katafalku, umoczył ręce w małej kropielnicy, pokropił wodą święconą zwłoki brata, ukląkł i zaczął odmawiać pacierze.

Widok płaczącej maki i zwłok, spoczywających na katafalku, wstrząsnął Henrykiem do głębi duszy.

Wstał błądy z klęczek i wyszeptał:

— Duszę się... Nie jestem w stanie znieść tego widoku.

Wraz z nieodstępnym Mauvepin'em opuścił komnatę i udał się na przygotowane dla siebie pokoje.

— Mój Boże, rzekł, padając na fotel, teraz jestem ostatnim przedstawicielem naszego rodu.

— Ba! szepnął błazen, tem większa racja nie odstępować od powziętego wczoraj zamiaru.

Król westchnął i kazał podać sobie wieczerzę, a po jej spożyciu, zaczął mówić o pięknej nieznamomej.

Nagle rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Wejść! rzekł król.

W progu stanął Serafin, zbliżył się do króla, przyklęknął na jedno kolano i podał Henrykowi bilecik.

Król otworzył go pośpiesznie i przeczytał:

„Jeśli Wasza Królewska Mość nie zapomniała jeszcze o mej osobie, proszę udać się za paziem tam gdzie czekają na Niego“.

— Idę!

— Sam? zapytał Mauvepin.

— Nie, z tobą.

Opuścili pokryjomu pałac, paż szedł pierwszy, wskazując drogę.

— Wiesz, mój drogi, rzekł król do błazna, już dawno nie czułem się tak rzeźki i pełen wigoru, jak dziś.

Wkrótce znaleźli się na przedmieściu przed małym domkiem, którego okna były zasłonięte okiennicami.

— Jesteśmy u celu! rzekł Serafin.

— Chodźmy więc! szepnął król, biorąc Mauvepin'a pod rękę.

— Mogę wpuścić tylko Waszą Królewską Mość, oświadczył Serafin.

Król wybuchnął śmiechem:

— Będziesz musiał, mój mały, udawać lunatyka i błądzić pod oknami przy blasku księżyca w oczekiwaniu na mój powrót.

— Jednakowoż, Sire, obawiam się, czy nie grozi Waszej Królewskiej Mości jakieś niebezpieczeństwo, rzekł Mauvepin do króla.

— Bajki! Czyż nie jestem królem?! A zresztą mam przy boku wierną mą towarzyszkę.

To mówiąc dotknął ręką rękojęści szpady.

Serafin otworzył drzwi wejściowe z klucza i wpuścił króla do wnętrza.

— Wasza Królewska Mość pójdzie prosto przed siebie, a potem zapuka dwa razy.

Gdy drzwi za królem zamknęły się, paź pociągnął Mauvepina w stronę oberży, położonej w pobliżu:

— Chodźmy napić się dobrego wina.

Oberżysta na widok Serafina pochylił się w niskim ukłonie. Natychmiast na stole ukazały się butelki, a Serafin zaproponował grę w kości.

— Skróci to nam czas oczekiwania.

— Grajmy! zgodził się błazen królewski, popijając wino.

Serafin pozwolił oberżysty udać się na spoczynek, sam zaś wyjął z kieszeni kubek i kości.

Biesiadnicy zaczęli grać i wychylać kubek za kubkiem.

Serafinowi nie sprzyjało szczęście. przed Mauvepin'em po pewnym czasie leżał spory stos dukatów.

W trakcie gry błazen królewski usłyszał w głębi sali skrzypnięcie otwierających się drzwi, spojrzął w tamtą stronę i ujrzał mnicha, który, przecierając oczy, zbliżył się do stołu i mruknął z gniewem:

— Panowie wojacy zabawiają się grą i pijatyką. a porządni ludzie nie mogą usnąć.

— Prosimy do naszej kompanji, odparł Serafin.

— Nie mogę, dziś jest dzień postny, nie wolno mi łamać przepisów kościelnych. Trudna rada! wobec tego, że nie mogę spać, udam się w drogę do klasztoru.

— Szczęśliwej podróży! rzekł Mauvepin, podnosząc do ust kubek, napełniony winem.

— Zostańcie z Bogiem, odparł mnich, kierując się ku drzwiom.

W tej samej chwili Mauvepin zauważył porozumiewawcze spojrzenie, jakie zamienili ze sobą wychodzący z izby mnich i Serafin.

— Oho! pomyślał, zdaje mi się, że coś się tu knuje... trzeba sprawdzić.

Wstał z miejsca.

— Dokąd waść się wybierasz? zapytał paź.

— Zobaczyć, w jaką stronę uda się mnich.

— A cóż cię to obchodzi?

— Mam w tem swój cel.

— O, przepraszam, nie wypuszczę waści z obozy... winienesz mi rewanż. Za dużo przegrałem.

— Dam rewanż jutro.

— Nie... żądam dziś!

— Przepraszam, ale mi jest bardzo pi'no... upierał się Mauvepin.

Serafin jednak zastąpił mu drogę.

— Hola, mości paziu! Nie zatrzymuj mnie!

— Wpierw rewanż!

Jednocześnie porwali za szpady.

Zmierzyli się; szczęknęła stal; Mauvepin wściekły wrzasnął:

— Czy chcesz koniecznie, abym położył cię trupem.

— Chcę tylko rewanżu! Jestem uparty!

— Znasz tego mnicha?!

— Nie.

— A ja ci powiadam, że go znasz!

— Zresztą, gdyby nawet, cóż cię to może obchodzić?

— Ach! więc przyznajesz się?!

— Nie potrzebuję zdawać przed tobą sprawy, mój panie!

Mauvepin natarł na przeciwnika, paź w ostatniej chwili uskoczył i ostrze szpady utkwilo w drzwiach; jednocześnie Serafin przyłożył swą broń do piersi Mauvepina.

— Drogi panie, rzekł Serafin, mógłbym cię zabić,

lecz daruję ci życie, ale... pod warunkiem: po pierwsze, że twoja szpada pozostanie w tych drzwiach, po wtóre, że zasiądziemy do przerwanej gry, a po trzecie...

— Że gdy przegram do ciebie całą wygraną uprzednio sumę, pozwolisz mi opuścić tę przekłętą oberżę.

— Kiedy strasznie mi przypadło do gustu twoje towarzystwo, kochany panie.

— Ale ja mam ważne sprawy...

— Sprawa nie zajac — nie ucieknie! Mamy czas.

— No, siadajmy do gry.

— Wolę zasiąść do wina, a tymczasem butelki już puste.

— Podnieś pan klapę, zamykającą wejście do piwnicy, i przynieś wina.

Zapalił drugi świecznik i zaczął świecić, Mauvepin zszedł do piwnicy i wrócił po chwili z olbrzymim dzbanem wina w ręku.

— Tam do diabła! zawołał Serafin, czy chcesz wytrąbić to wszystko?

— Nie! chcę poczęstować ciebie! syknął Mauvepin i chlusnął winem prosto w twarz Serafinowi.

Paź wydał okrzyk bólu i wściekłości,

Mauvepin zaś zwinny, jak kot, zdusił Serafina za gardło tak silnie, że ten nie zdążył się nawet opamiętać.

Zakneblowanie mu ust i skrępowanie go jego własnym pasem było już rzeczą łatwą.

— Teraz nie przeszkodzisz mi, żebyś nawet pękł! rzekł błazen królewski, wrzucając pazia pod stół.

— Jednak będę wiedział, co się stało z mnichem!

## X.

Stanąwszy pod drzwiami na końcu korytarza, król zapukał.

Melodyjny głos kobiecy zawołał:

— Proszę!

Henryk III otworzył drzwi i znalazł się w pięknie umeblowanym pokoju.

Na szerokiej otomanie, przykrytej wschodnim dywanem, siedziała kobieta w czarnej masce.

Król zamknął za sobą drzwi, zbliżył się do otomany i przyklęknął.

Kobieta zdjęła maskę. Ukazała się twarz pięknej blondynki, która zrobiła na królu tak silne wrażenie.

— A więc pamiętasz jeszcze o mnie, Sire? zapytała z zalotnym uśmiechem.

— Pani, jesteś jedną z tych kobiet, o których nie zapomina się nigdy, odpowiedział Henryk.

Przyłgnał ustami do jej ręki i szepnął:

— Kocham panią.

— Gdybym mogła uwierzyć twym słowom, Sire!

— Jestem szczery.

— Nie znasz mnie przecież, nie wiesz, kim jestem...

— Miłość nie pyta o nic. Jesteś pani piękną, to wystarcza w zupełności.

— Pod jednym tylko warunkiem możemy się widywać, Najjaśniejszy Panie.

— Już jest wypełniony.

— Będziemy tu spotykać się w największej tajemnicy, i nigdy nie będziesz usiłował, Sire, dowiedzieć się, kim jestem.

— Ręczę za to mem królewskiem słowem.

Rozpoczęła się rozmowa pełna westchnień i zapewnień miłosnych ze strony króla, a zalotnych i dużo obiecujących uśmiechów i spojrzeń ze strony blondynki. Król tak był zachwycony, że zapomniał o całym świecie, ona zaś, ociągając się i wdzięcząc do swego wielbiciela, wyznała mu, iż kocha go już od dawna.

— Ależ ja widzę panią po raz pierwszy w życiu.

— O nie, przed dziesięciu laty, spotkaliśmy się w jednym z zamków w Lotaryngji, wtedy, gdy Wasza Królewska Mość udawałeś się do Polski, miałam wówczas czternaście lat. Zatrzymałeś się, Sire, na noc w posiadłości mego ojca. Od tej chwili serce moje należy do ciebie.

W pokoju stał na kominku olbrzymi wazon, pełny kwiatów o dziwnie duszącej woni. Król nie zwrócił na niego wcale uwagi. blondynka jednak po jakimś czasie podniosła się z otomany, wyjęła z wazy kilka kwiatów, zrobiła z nich wiązanekę i ofiarowała ją królowi.

Henryk powąchał je i wykrzyknął:

— Cóż za odurzający zapach!

— Zachowaj je, Sire, aż do jutra.

— Jakto, więc dziś?...

— Musimy się rozstać... do jutra...

Król podniósł się z miejsca z westchnieniem, blondynka jednak oparła mu wypieszczoną, białą rączkę na ramieniu i szepnęła:

— Ja wyjdę pierwsza.

— A więc pani tu nie mieszkasz?



— Nie. Musisz mi przysiąc, Sire, że pozostaniesz tu jeszcze przez kwadrans.

— Przysięgam!

Blondynka wyciągnęła do króla dłoń na pożegnanie, włożyła maskę, owinęła się w płaszcz i znikła.

Król rozmarzony ulokował się na otomanie i wtulił twarz w wonny bukiet.

Tymczasem blondynka, rozglądając się ostrożnie dokoła, opuściła tajemniczy domek i spotkała się na rogu ulicy z mężczyzną w płaszczu.

— Czy to ty, Eryku? zapytała.

— Tak, pani!

— Przybywasz z Paryża?

— Tak.

— No i co?

— Wszystko przygotowane. Czekamy tylko na twój powrót, pani.. Przedstawiciele mieszczaństwa są uprzedzeni, Paryż zamknie wrota i wzniesie na ulicach barykady... i jeśli król zechce wjechać do miasta...

— Och! Król zajęty jest teraz ważniejszymi sprawami, odparła z ironją w głosie.

— Tak?

— Upaja się wonią kwiatów! Pójdź za mną!

Zbliżyli się do oberży, w której Mauvepin i Serafin grali w kości, popijając. Blondynka przylgnęła okiem do szpary w okiennicy. Na sali stał mnich, rozmawiając z grającymi. Po paru minutach opuścił salę, zamieniając z Serafinem znaczące spojrzenie.

Blondynka zbliżyła się do niego.

— Czy twój braciszek zakonny już przygotowany?

— Tak, pani.

— A więc idź i weź ten klucz...

Zwróciła się do Eryka:

— Koń dla mnie gotowy?

— Tak, pani!

— W drogę tedy!

Widząc mnicha, zbliżającego się do domku, w którym pozostał król, dodała:

— Teraz Bóg chyba zaopiekuje się tronem Francji, bo za chwilę postrada on króla.

## XI.

Aby zrozumieć znaczenie tych słów, musimy cofnąć się do chwili, w której Kubuś doszedł do wniosku, że postradał zmysły.

Do lamentującego braciszka zbliżył się jakiś karmelita bosy i zapytał go, co mu dolega.

Jednocześnie Anna Lotaryńska ukazała się w oknie i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie.

Karmelita po wysłuchaniu utyskiwań Kubusia położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Nie martw się, mój bracie, uzdrowię cię.

— I już nigdy więcej choroba nie wróci?

— Nigdy.

— I zostanę naprawdę szlachcicem?

— Naturalnie.

— A jak mnie uleczysz?

— Modlitwą.

Kubuś poczuł, że człowiek ten trzyma w swem ręku jego losy.

Karmelita zbliżył się do księżnej i, pochylając się w ukłonie, zapytał:

— Wasza Książęca Mość interesuje się losami tego młodzieńca?

— To mój najukochańszy paż, Amaury.

Kubuś uczuł przyśpieszone bicie serca.

Karmelita indagował dalej:

— Podobno postradał zmysły?

— Niestety.

— Dokąd udaje się Wasza Książęca Mość?

— Do Château-Thierry.

— Dobrze. Jutro wieczór będziemy tam również

— Dlaczego jutro?

— Bo pójdziemy stąd pieszo, modląc się i nie przyjmując po drodze ani pokarmów, ani napojów. Jestem przekonany, że niebo dopomoże mi w uleczeniu tego młodzieńca.

— Róbcie tak, jak uważacie za najlepsze, rzekła księżna.

Odjechała, pozostawiając Kubusia pod opieką karmelity.

Karmelita z braciszkiem zakonnym, zamienionym w pazia, puścili się w drogę, jak dwaj pokutnicy, odmawiając przez cały czas modlitwy.

Przenocowali na leśnej polance.

O wschodzie słońca, gdy się zaczęli zbierać w dalszą drogę, karmelita zapytał Kubusia o to, co mu się śniło.

— Zdawało mi się we śnie, że jestem znowu w klasztorze.

— Moje dziecko, rzekł mnich, jesteś igraszką złego ducha.

— Co mam uczynić, aby się wyzwolić z jego władzy?

— Musisz spełnić jakiś czyn, którym zasłużyłbyś na łaskę nieba.

Kubuś westchnął.

— Bo widzisz, moje dziecko, prawil karmelita, krocząc drogą przy boku Kubusia, w tej chwili kościół

nasz ma okrutnego wroga, stokroć gorszego od wszystkich hugonotów razem wziętych.

— Któż jest tym wrogiem?

— Pewien ksiązę najgorszych obyczajów, egoista, zły a tchórzliwy, człowiek bez czci i wiary, który zgubi Francję.

— Któż to jest?

— Król Henryk III.

— Nienawidzę go.

— Nie masz racji, moje dziecko.

— Jakto?

— Nie uczynił ci nic złego, wszystko, o co masz do niego pretensję, było jedynie senną marą; nie byłeś bowiem nigdy zakonnikiem.

— Mój biedny łeb! szepnął Kubuś, łapiąc się za głowę.

— Dziś wieczór, moje dziecko, staniemy w Château — Thierry i tam zacznę cię leczyć.

— Powiedziałeś, mój ojczec, że mogę wyświadczyć niebu usługę...

— Tak.

— Jaką?

— Dowiesz się w swoim czasie.

Przybyli do Château-Thierry przed samem gaszeniem ogni.

— Zaprowadzę cię na noc do domu, w którym zostaniesz uleczony, rzekł do Kubusia karmelita.

Gdy się znaleźli w małej komnatce, przypominającej swym wyglądem celę więzienną, karmelita oświadczył Kubusiowi, że ubiegłej nocy miał objawienie i wie napewno, że to djabeł przybrał postać króla. aby się znęcać nad młodzikiem. Otóż tej nocy może się znowu ukazać i...

— Znowu mnie zmusi do przywdziania habitu?

— Nie wiem... w każdym bądź razie musimy czu-

wać... wyjdę na chwilę, lecz wrócę i, jeśli uśniesz, zbudzę cię.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Kubuś pozostał sam, lecz nie mógł usnąć... zbyt był podniecony tem, co się już stało, i co jeszcze go czeka w tym domu.

Po pewnym czasie usłyszał jakieś głosy i chodzenie. Wszystkie te dźwięki wydobywały się z poza obrazu Św. Jana, wiszącego na jednej ze ścian celi. Nagle ciemności, w jakich tonęła izdebka, rozproszyły się, święty jak gdyby zstąpił z ram, ściana się rozsunęła, w jaskrawem świetle, jakie wdarło się do celi, ujrzał przepięknie urządzony pokój, a w nim księżnę de Montpensier. siedzącą na otomanie, przed nią zaś kłęczącego króla... Króla Henryka III, który kazał go obić w St. Cloud, a przedwczoraj podmawiał Mauvepina do zamordowania go...

— Och! wykrzyknął pełen wściekłości, czyś jest królem, czy djabeł, zemszczę się!

Z temi słowy porwał za szpadę.

Światło jednak, zgasło, znowu izdebka pogrążyła się w ciemnościach, a św. Jan znalazł się na dawnym miejscu.

— Jestem igraszką szatana! wyszeptał biedny Kubuś.

Oszalały z rozpaczy, zaczął bić głową o mur, wreszcie ukląkł i zaczął odmawiać pacierze, aby odpędzić od siebie diabła.

Po jakiejś godzinie usłyszał znowu za ścianą głosy i zgrzyt klucza, obracanego w zamku.

Drzwi od komnatki otworzyły się i stanął w nich karmelita. Trzymał w jednym ręku krucyfiks, a w drugim latarkę.

— Modliłeś się? zapytał.

— Tak i... widziałem króla.

— Powiedz raczej djabła... król w tej chwili jest w St. Cloud.

— To pewnie djabeł przybrał jego postać.

— Uklęknię przy tobie i postaramy się wspólnie odegnać go. Czy widzisz go jeszcze?

— Nie.

Mnich zgasił latarkę, ukląkł i zaczął się modlić; Kubuś poszedł za jego przykładem. Po kilku jednak minutach Św. Jan znowu szedł z ram, znowu ukazała się postać króla.

— Widzę go! wykrzyknął, drżąc na całym ciele.

— Kogo? zapytał spokojnie karmelita, nie przestając się modlić.

— Króla.

— Jakim sposobem? jesteśmy pogrążeni w ciemnościach.

— Och! nie! widzę króla!

— Widzisz raczej djabła.

— Niech będzie i djabła!

Kubuś naprawdę widział króla, śpiącego na otomanie z bukietem wonnych kwiatów w ręku.

Księżna już znikła.

— Widzę go! widzę! powtarzał zduszonym głosem, z nabiegłymi krwią oczami.

— Widzisz więc djabła? zapytał raz jeszcze mnich.

— Tak! widzę go wyraźnie... tam.... tam... co mam uczynić, aby zniszczyć jego władzę?

— Weź twą szpadę, uczyni znak krzyża św., rzuć się na niego i wymierz cios w samo serce.

Kubuś zarząził, porwał za szpadę i rzucił się w stronę króla, który wciąż spał spokojnie.

## XII.

Mauvepin jak szalony wypadł z oberży. Czuł, że królowi grozi jakieś niebezpieczeństwo. Stał przed wejściowemi drzwiami domku, do którego Serafin wpuścił króla, drzwi jednak były zamknięte na klucz, wrota tak solidne i tak mocno okute, że nie było mowy o ich wyważeniu.

Przez mur sąsiadującego z domkiem ogrodu udało mu się wreszcie przedostać pod okno parterowego pokoju. Zajrzał ostrożnie do wnętrza.

Prócz króla, śpiącego na otomanie z bukietem w ręku, nie było w pokoju nikogo.

Przez chwilę lęk przeszył serce faworyta królewskiego. Zbudziło się w nim podejrzenie, że król został otruty.

W tej samej jednak chwili z otworu w ścianie przyległego pokoju wyjrzała twarz Kubusia, a jednocześnie rozległ się głos karmelity:

— Zabij djabła!

Szybko, jak strzała, błazen królewski wybił okno i wpadł do pokoju, przedtem nim Kubuś zdążył wymierzyć cios królowi.

Mauvepin przeszył napastnikowi pierś swą szpadą, wołając:



— Giń zbrodniarzu!

Braciszek zakonny padł, brocząc krwią.

Ani okrzyk Mauvepina, ani odgłos upadku Kubusia, nic nie zdolne było zbudzić króla... spał ciągle z bukietem w ręku.

Tymczasem karmelita, widząc padającego na ziemię mordercę, porwał jego szpadę i rzucił się na Mauvepina.

— Jeszcze jeden zbój w zakonnej szacie! zawołał wesolek królewski szyderczym tonem.

Zawrzała zacięta walka. Zakonnik walczył, jak pierwszorzędny szermierz, tego dnia jednak szczęście sprzyjało Mauvepinowi; to też w pewnej chwili zdzielił przeciwnika rękąjścią szpady po głowie, a gdy ten padł bez zmysłów na ziemię, z zimną krwią przeszył pierś jego szpadą. Mnich zmierzył go pełnym nienawiści spojrzeniem, wzrok mu zmętniał... skonał.

— Ten już napewno nie odżyje! szepnął Mauvepin i zwrócił się w stronę Kubusia.

Dyszał jeszcze.

— Odpowiesz ty przed trybunałem! syknął Mauvepin, zbliżając się do otomany, na której spał ciągle król.

Mauvepin, jakby tknięty przeczuciem, wyjął mu z ręki bukiet i, nie podnosząc go do nosa, przytknął kwiaty do świecy, stojącej na gierydonie.

Kwiaty zajęły się ogniem, zatrzeszczały i spłonęły, jak siarka, wydając ohydny, duszący woń.

— Teraz już rozumiem wszystko, mruknął Mauvepin, król usnął, wachając te kwiaty, zatrute jakimś narkotykiem.

Tymczasem Kubuś wił się na podłodze w męczarniach, rzucając na Mauvepina błagalne spojrzenia i rzygając krwią.

Ulitował się nad biedakiem i dał mu trochę wody, którą ten zaczął pić z chciwością.

Widząc, że sam nie da wszystkiemu rady, i nie chcąc pozostawić króla bez opieki, Mauvepin postanowił wynieść go z domku do ogrodu.

W ogrodzie złożył uśpionego na trawie, a sam zaczął majstrować koło małej furtki ogrodowej, chcąc się tamtędy wydostać na wolność.

Nagle usłyszał po przeciwległej stronie parkanu kroki. Wyjrzał przez szparę i dostrzegł trzech mężczyzn, zmierzających w stronę domku.

— Wrogowie, czy przyjaciele? pomyślał.

Trzej mężczyźni zatrzymali się, a jeden z nich zaklął siarczyście.

Mauvepin zadrżał z radości. Tak kląć mógł tylko de Crillon.

— Panie de Crillon! zawołał.

— Kto tam? Czyżby imć pan de Mauvepin?

— Do usług, panie pułkowniku.

— Gdzie król?

— Tu.

— Zdrów i cały?

— Prawie... śpi...

— Dzięki Bogu! mogę oddalić się?

— Przeciwnie .

— Mam zaczekać?

— Masz pan przyjść nam z pomocą.

— Rany Boskie! a więc królowi grozi niebezpieczeństwo?!

— O... nie! Teraz już nie. Chodź pan jednak tu do nas.

Crillon widział wychodzących pokryjomu z pałacu króla i Mauvepina, a ponieważ długo nie było ich z powrotem, ogarnięty niepokojem udał się na poszukiwanie.

Słyszając, że jest potrzebny, kazał jednemu ze swych szwajcarów oprzeć się o mur, a sam po jego plecach przelazł na drugą stronę.

— Gdzie jest król? były pierwsze jego słowa.

— Tam! odparł lakonicznie Mauvepin, wskazując na nieruchome ciało, leżące pod murem.

— Ranny?! a może zabity?!

— Śpi! wywinął się od śmierci!

Crillon pochylił się nad śpiącym i, słysząc równy i spokojny oddech, uczuł, że mu ciężar spadł z serca.

Tymczasem Mauvepin opowiedział całą przygodę i oświadczył, że muszą przenieść króla z powrotem do domku i czuwać przy nim, aż się zbudzi, nie trzeba bowiem dawać powodu do plotek, że król jest ranny.

— A czyjaż to sprawka? zapytał de Crillon.

— Czyjażby, jak nie księżnej de Montpensier, albo Gwizjusza. Tylko ich stać na takie zuchwalstwo. Jedno tylko mnie martwi: a może w domku ukryci są wrogowie?

— I cóż to szkodzi? Przecież król będzie pod moją opieką, odparł z naiwną dumą de Crillon.

Wziął króla w ramiona i zwrócił się do Mauvepina z prośbą o wskazanie mu drogi. Idąc za błaznem królewskim złożył króla na otomanie.

Wtedy rozejrzał się po pokoju i zauważył zwłoki mnicha i napół martwego Kubusia.

— Muszę teraz opatrzyć braciszkowi ranę! rzekł Mauvepin.

— Jakto? temu mordercy! wykrzyknął Crillon pełen świętego oburzenia.

— Tak. Gdy się wylizę, będzie musiał wyśpiewać wszystkie sprawy książąt Lotaryńskich, na których też przyjdzie kreska.

— Tam do licha! widzę, że nosisz pan głowę na karku nie od parady!

— Robi się co można! odparł skromnie Mauvepin, zabierając się do opatrunku.

Gdy król się zbudził ze swego półletargicznego snu, pierwsze promienie słońca zajrzały już do okna pokoju, w którym spał.

— Gdzie jestem? zapytał, rozglądając się dokoła. Pamiętał tylko tę chwilę, gdy blondynka poprosiła go o opuszczeniu domku w kwadrans po niej. Dalej... nie wiedział nic, co się z nim stało.

Widząc, że król otworzył oczy, Mauvepin, który czuwał w pobliżu, zbliżył się do otomany i zaczął opowiadać kolejno wypadki ubiegłej nocy.

Król słuchał i nie wierzył własnym uszom.

Prawdziwość słów Mauvepin'a potwierdził de Crillon, który również wyszedł z kąta, gdzie przetrzymał przez resztę nocy.

— Tak, tak! dzisiejszej nocy Francja o mały włos nie postradała monarchy, a cała zasługa uratowania sytuacji jest po stronie Mauvepin'a. — Mój drogi, dodał, zwracając się do niego, ubliżyłeś mi przed paru dniami, lecz dziś taki jestem z ciebie zadowolony, że przebaczam ci chętnie wszystkie tve przewiny.

— Daję słowo, że nagroda to dla mnie większa, niż cały naszyjnik z orderów.

— Mój drogi! mojej przyjaźni nie znajdziesz na ulicy... wierzaj mi!

— Ale powiedzcie mi, jak się to stało, że usnąłem? zagadnął król.

— Stało się bardzo prosto. Wasza Królewska Mość wzięłaś w rękę zatruty narkotykiem bukiet kwiatów i usnąłaś, wachając je.

- A potem?
- A potem zjawił się mnich, aby zamordować cię, Sire.
- Lecz skąd się on mógł wziąć?
- Sprowadziła go do tego domu owa blondynka. Henryk zadrżał.
- Gdy usłyszysz, Sire, jej imię, nie będziesz się już niczemu więcej dziwił, rzekł Mauvepin.
- Jakże się nazywa?
- Anna Lotaryńska, księżna de Montpensier.
- Ach! jęknął król, drżąc febrycznie ze strachu.
- To ta sama kobieta, która mi się kiedyś przyśniła, jako przywódczyni zbuntowanych Paryżan, mruknął Crillon.
- Królowa Barykad! szepnął zgnębiony Henryk.

### XIII.

Jakkolwiek niezbyt ponętny, nieco garbaty i trochę kuternoga, Mauvepin miał szczęście do kobiet. Każda z nich stwierdzała, że nie grzeszy urodą, lecz każda dodawała z westchnieniem:

— Cóż, kiedy ma taką pańską minę!

Śród licznych swych miłostek miał jedną, o tyle stalszą, niż inne, że ona nie wymagała od niego nic, a więc mniej go krępowała od innych kobiet. Była to biedna dziewczyna, imieniem Piotrusia.

Mieszkała w małym pokoiku pod samym dachem. Pokoik był tak niski, że przewano go tabakierką. Okno, wychodzące na dachy, było dostatecznie duże, by przepuścić człowieka.

Otóż u Piotrusi bywał Mauvepin dość często. Naturalnie nie wiedziała o tem, jaki urząd piastuje; powiedział jej, że jest sokolniczym Króla Jegomości.

A więc 16 czerwca 1584 roku, w sześć dni po przewiezieniu zwłok księcia Andegaweńskiego do Paryża Mauvepin, udając się do Piotrusi, przechodził ulicą Sw. Antoniego.

Mimo iż w tej chwili myślał raczej o swej dziewczynie, niż o polityce, jednakowoż trudno mu było nie zauważyć całego tłumu mieszczan, idących w jednym

kierunku. Bystre jego oko dostrzegło, że każdy z nich miał ukryty pod opończą pistolet. Zaciekawiony zaczął ich śledzić, wkońcu stwierdził, że wszyscy zmierzają do domu, sąsiadującego z tym, w którym mieszkała Piotrusia.

Postanowił zbadać bliżej tę sprawę, nie poszedł więc do Piotrusi, lecz ukrył się w pobliżu przedsionka i czekał. Co pewien czas paru obywateli Paryża zbliżało się do kamienicy, pukało i wchodziło do wnętrza.

Widząc przechodzącego ulicą wieśniaka, zaczął go, zapytując:

— Czy wiesz do kogo należy ta kamienica?

— Tak, panie, odparł zagadnięty, to dom pana Rochibonda, mieszczanina miasta Paryża, jednego z szesnastu członków Ligi.

— Dziękuję .

Narazie wiedział wszystko, co chciał wiedzieć, to też poszedł do Piotrusi, która wyglądała go od paru godzin, przypuszczając, że już wcale nie przyjdzie.

Gdy wszedł do jej *tabkierki*, uwiesiła mu się na szyi i nadstawiła mu usta.

Złożył na nich pocałunek, potem odsunął dziewczynę, przystawił do okienka stół, wszedł na niego i wypełził przez okno na dach.

— Co robisz? zawołała Piotrusia.

— Psyt! Cicho! szepnął, przykładając palec do ust na znak milczenia, pójdę obserwować niebo i sprawdzić, czy jutro będzie deszcz, czy pogoda.

Ze zwinnością kota wdrapał się na dach sąsiedniego domu i zajrzał na podwórko. Szesnastu mieszczan spacerowało po nim małymi grupkami, rozmawiając ze sobą półgłosem.

— Czekają na kogoś, więc i ja zaczekam, rzekł do siebie Mauvepin.

Zapadła noc. W oknach zapłonęły światła, poprzez

uchylone okiennice widać było wewnątrz dużej sali, pośrodku której stał długi stół, przykryty dywanem; dookoła stołu stały taborety.

Mauvepin porachował je, było ich szesnaście, pośrodku zaś był ogromny fotel, przybrany złotymi gwoździami; takich foteli zazwyczaj nie widywało się w mieszczańskich domach.

— Pewnie ten siedemnasty sprzęt przeznaczono dla osoby, na którą wszyscy czekają, pomyślał Mauvepin.

Nagle brama wjazdowa otworzyła się; ukazała się lektyka, z której wysiadła zamaskowana kobieta, śnać jednak dobrze wszystkim była znana, bo wszyscy mieszczenie otoczyli ją zwartem kołem, okazując wielki szacunek i poważanie.

Zamaskowana kobieta zasiadła na fotelu, dookoła zaś niej szesnastu mieszczan Paryża.

— Muszę wiedzieć, o czym będą mówili! pomyślał znowu.

Lotem strzały powrócił do pokoiku Piotrusi i zaczął gorączkowo krajać w kawałki i zeszywać przecieradła, robiąc z nich długą węzłową linę.

— Tem gorzej, jeśli się urwie, ale dobro państwa przedewszystkiem, a potem dopiero całość moich gnatów.

Piotrusia patrzyła na niego wylękła, bojąc się nawet zapytać, o co chodzi.

Przywiązał koniec liny do nogi łóżka Piotrusi, potem, trzymając w zębach drugi jej koniec, wrócił na dach, skąd spuścił linę na sąsiednie podwórko. Z zadowolaniem stwierdził, że koniec jej sięgał prawie ziemi.

Teraz podwórze było już puste.

Wszyscy zgromadzili się w sali obrad.

Mauvepin skorzystał z tego, spuścił się najprzód



na podwórko, potem zaś, chcąc uchronić się przed czyjmkolwiek niedyskretnym spojrzeniem, wdrapał się na silnie rozgałęzione drzewo, którego boczne konary sięgały prawie okien.

Po ulokowaniu się wygodnie na gałęzi otworzył oczy i uszy.

Księżna de Montpensier przewodniczyła obradom. Przy jej fotelu ujrzał jeszcze osiemnastą osobę. Był to jakiś możny pan w pancerzu, wysokich butach z ostrogami i w hełmie z podniesioną przyłbicą.

— Niech mnie kule biją jeśli to nie jest książę Gwizjusz we własnej osobie! syknął pod nosem.

— Słuszna uwaga! szepnął mu ktoś na ucho.

Obejrzał się i ujrzał siedzącego okrakiem na sąsiedniej gałęzi mężczyznę.

Noc nie była dostatecznie jasna, by mógł rozpoznać rysy nieznanego.

Mauvepin wyciągnął pośpiesznie swój sztylet z pochwy.

— To zbyteczne, rzekł nieznanomy, nie życzę ci źle.

— Ktoś pan jest? zapytał Mauvepin niepewnym głosem.

— Przyjaciel, brzmiała odpowiedź.

— Czyj?

— Przedewszystkiem pański.

— A potem?

— A potem króla Francji.

Mauvepin odetchnął z ulgą i spojrzął na tajemniczego sąsiada.

Oczy jego błyszczały, jak para świetlików.

W żyłach Mauvepina płynęła szlachecka krew, to też wkrótce ochłonął z pierwszego wzruszenia i zapytał sąsiada:

— Jednakowoż chciałbym wiedzieć, kogo mam szczęście mieć za sąsiada?

— Dziś nie warto takimi głupstwami zawracać sobie głowy. Patrz pan *tam* i słuchaj tego, co *tam* mówią.

Tu wskazał na okna oświetlonej sali obrad.

Pani de Montpensier zabrała głos:

— Panowie, przez trzy dni sądziłam, że stanowisko króla Francji wakuje, lecz sprawiedliwość boska bywa nieraz nierychliwa: Walezjusz chodzi jeszcze po świecie i pogrąża kraj nasz w morzu nieprawości.

Na sali rozległy się oklaski.

— Już czas, aby Francja powstała, jak jeden mąż, aby Paryż wzniosł na ulicach barykady i wystąpił do walki w imię sprawiedliwości.

Pan Rochibond powstał z miejsca i oświadczył:

— Jesteśmy gotowi, brak nam tylko przywódcy...

— Oto macie go!

Anna Lotaryńska wskazała na stojącego przy jej boku brata.

— Przytem ciągnął dalej Rochibond, do rozpoczęcia walki potrzebny nam jest jakiś godziwy pretekst.

— Pretekst! wykrzyknęła księżna, wam koniecznie potrzebny jest pretekst!

— Nic łatwiejszego nad to! odpowiedział inny mieszczanin. Naprzykład, żołnierz królewski źle się obejdzie z mieszczaninem... Czegóż więc potrzeba?

— Podczas gdy nasi wrogowie rozwodzą się nad pretekstami, rzekł nieznajomy, siedzący na gałęzi, czy nie dobrzeby było obmyśleć dla nich pułapkę. Jeden z nas będzie słuchać na rachunek obu, drugi zaś uda się do Luwru i zażąda od króla przysłania tu...

— Crillona na czele setki gwardzistów! domyślił się Mauvepin.

— Widzę, że pan należy do szeregu domyślnych  
A więc w drogę, mój panie.

— Więc to ja muszę stąd odejść?

— Niestety, tak, bo pan stoisz bliżej króla.

— A przez ten czas pan zostaniesz na straży?

— Tak...

— I wysłuchasz pan wszystkiego uważnie? Nie  
wiem, czy mogę tak uczynić... Wyznam panu, że nie-  
ufność jest moją drugą naturą.

— Gdy się pan dowiesz, jak się nazywam rozwieje  
się ona, jak dym.

— Słucham więc...

Nieznajomy przechylił się w stronę Mauvepina  
i szepnął mu swe nazwisko na ucho:

— No i co? Idziesz pan teraz?

— O, tak!

Piotrusia wydała radosny okrzyk, widząc w oknie  
powracającego kochanka. Mauvepin jednak miał te-  
raz na głowie dużo ważniejsze sprawy, niż miłość.

Odepchnął Piotrusię, otworzył drzwi poddasza  
i stoczył się prosto ze schodów.

• • • • •

#### XIV.

Król rozmawiał z królową — matką i de Crillonem, królowa przyszła uprzedzić go o tem, że na mieście jest niespokojnie, bo Gwizjusze czuwają i przygotowują jakiś nieoczekiwany atak.

— Nie boję się nikogo, odparł Henryk, mam de Crillona i ośm tysięcy szwajcarów, poza tem oddziały pod dowództwem d' Epernona, który jest też niepoślednią siłą. Luwr osadzę szwajcarami i zobaczymy wtedy, czyje będzie na wierzchu.

— Wszystko to jest bardzo ładne, ale najpewniejszemby było: aresztować księżnę, a Gwizjusza wtrącić do łańcu. Wtedy hydra rewolty miałyby odrazu ucięty łeb.

— Och! mamy jeszcze czas! odparł król.

Nie zdążył dokończyć swej myśli, gdy do pokoju wszedł Mauvepin.

— Sire, niechcący słyszałem część rozmowy i, jeśli Wasza Królewska Mość zechce mi dać Crillona i ze trzydziestu gwardzistów, żadne dalsze zarządzenia nie będą potrzebne: — trzymam mocno księżnę de Montpensier, Jego Księżęcą Mość księcia Gwizjusza i wszystkich przywódców zbuntowanych mieszczan, spiskujących przeciw Waszej Królewskiej Mości.

Wesołek królewski był pewien, że król pośpieszy skorzystać ze sposobności ukrócenia rebelji, król jednak pozostał spokojny. Wiara w potęgę szwajcarów była tak silną, że nie chciał ani słuchać o wyprawie na Gwizjuszy. Zresztą był zajęty ceremoniałem pogrzebowym, który w najdrobniejszych szczegółach opracował z ojcem Bazylim, przeorem zakonu Św. Genewfy. Wszystkie sprawy polityczne odkładał na pojutrze.

Królowa — matka, Crillon i Mauvepin rozczarowani i pełni niepokoju opuścili pokoje królewskie.

Po wyjściu od króla Katarzyna wciągnęła Crillona i Mauvepina do sąsiedniej sali.

— Król jest dzisiaj w stanie zupełnej depresji duchowej; musimy coś przedsięwziąć na własną rękę, rzekła do Crillona.

— Rozkazuj pani.

— Czekają nas niebezpieczna gra.

— Lubię hazard.

— Ja ryzykuję ponownym wygnaniem do Amboise.

— Hm!

— Pan możesz również być wygnany i pozbawiony wszystkich szarż.

— Dalej? zapytał zimno de Crillon.

— Mimo to jednak musisz pan wykonać moją wolę.

— Słucham, Najjaśniejsza Pani.

— Czego nie chce król, tego chce królowa!

— ?

— Musisz pan pójść ze swymi szwajcarami do wskazanego przez pana d' Uzès'a domu.

— Mam zaarrestować księcia i księżnę Lotaryńskich oraz szesnastu mieszczan...

— Tak.

— Zrobione! Już idę.

W kilka chwil potem oddział szwajcarów z księciem de Crillon'em na czele i z Mauvepinem w roli przewodnika wyruszył z Luwru.

Przy wylocie ulicy Lwów Mauvepin zatrzymał się.

— Zaczekajcie chwilę, moi panowie, rzekł, otworzę wam furtkę — tylko wdostanę się na podwórze — już zdołałem przygotować sobie wolny wstęp. Ale, ale, muszę panu powiedzieć, mój książe, że mam przyjaciela, który pozostał na straży.

— Któż to taki?

— Przyjaciel z *gałzki*, na której zawarliśmy znajomość i traktat odporno - zaczepny. Jest on również przyjacielem króla, a wrogiem pani de Montpensier.

— Jego imię?

— Mogę je panu powiedzieć, ale tylko na ucho. .

Crillon na dźwięk tego imienia zadrżał radośnie i zawołał:

— Wobec tego wygraliśmy grę! On sam starczy, za całą armję!

— A teraz żegnam, waćpanów. Za chwilę otworzę furtkę, rzekł Mauvepin, wchodząc do domu, w którym mieszkała Piotrusia.

Biedna dziewczyna, zaskoczona nagłym zniknięciem ukochanego, siedziała na łóżku, zalewając się gorzkiemi łzami.

Gdy Mauvepin wszedł do izdebki, wydała okrzyk radości:

— Jesteś jednak, kochany! Teraz zostaniesz już chyba ze mną?!

— Człowiek jest istotą omylną... oświadczył z powagą Mauvepin, tym razem również omyliły cię twe przecucia. Godzina moja jeszcze nie wybiła! zawołał,

spuszczając się po linie na podwórze kamienicy Rochibonda.

... Sesja trwała jeszcze. Pani de Montpensier przewodniczyła w dalszym ciągu, tylko księżę Gwizjusz zniknął. Mauvepin zerknął na drzewo, aby zasięgnąć informacji u „przyjaciela“, lecz „gałązka“ była pusta. „Przyjaciel“ zniknął.

Dokąd mógł pójść?

Usłyszał głos księżnej:

— Panowie, wobec tego, że wszystko omówione, rozejdźmy się, a jutro wieczór niech każdy będzie na swem stanowisku.

— To się pokaże! mruknął Mauvepin, zmierzając do furtki, którą wpuścił na podwórze de Crillona i szwajcarów.

Słyszając gwar w podwórzu jeden ze spiskowców wychylił się przez okno, zapytując:

— Co się tam dzieje? Kto tam?

W odpowiedzi na to rozległ się spokojny głos de Crillona:

— Straż królewska!

## XV.

„Przyjaciół z gałęzi“ po odejściu Mauvepina nie ruszył się z miejsca, pilnie przysłuchiwał się temu, o czem mówiono w domu Rochibonda.

Zgromadzenie okrzyknęło jednogłośnie Gwizjusza swym przywódcą, poczem ksiązę opuścił salę obrad

Wyszedł na podwórze, lecz zamiast wyjść furtką wiodącą na ulicę Lwów, wszedł, na wąską ścieżkę łączącą podwórze domu Rochibonda z ogrodem, zamierzając udać się tędy na małą uliczkę.

Nagle usłyszał za sobą czyjeś kroki.

Odwrócił się i ujrzał zamaskowanego mężczyznę, który szedł za nim krok w krok.

— Kto jesteś? zapytał, chwytając za broń.

— Jeśli przysięgniesz, Wasza Książęca Mość, że nie będziesz wzywać nikogo na pomoc, powiem.

— A czy możesz mi przysiąc, że jesteś sam?

— Tak.

— W takim razie nie wezwę pomocy.

— Otóż, może Wasza Książęca Mość przypomina sobie pewną noc dziesięć lat temu, kiedy przed oberżą Bearneńczyka Malicana zmierzyliśmy się na szpadę. Padłem wówczas ofiarą i o mały włos nie przeniosłem się do Abrahama na piwo.



— Wiem już, z kim mam do czynienia! zawołał książę.

— Tak, to ja...

— Do broni więc!

— Do broni!

Szczęknięta stal, zawrzała zacięta walka. Henryk Nawarski (on to był bowiem) walczył spokojnie, lecz zawzięcie; Gwizjusz unosił się, nie miał jednak szczęścia. Już kilka razy szpadę Henryka Nawarskiego zbroczyła krew przeciwnika, wreszcie Gwizjusz wyczerpany walką i zdyszany uczuł, że opada z sił. Cofając się dotarł do furtki, o którą oparł się, czując powiew śmierci.

Furtka, o którą się opierał, uchyliła się, i wtedy po raz pierwszy w życiu książę doznał nieprzepartego uczucia lęku.

— Niech się dzieje, co chce; niech się to nazywa tchórzostwem, muszę ratować się ucieczką!

Wpadł na uliczkę, zatrzasnąwszy za sobą furtkę z taką siłą, że Henryk Nawarski nie był w stanie jej otworzyć.

Dzielny, słynny ze swego męstwa, książę Lotaryngji zaczął uciekać, jak pierwszy lepszy łotrzyk przyłapany na gorącym uczynku kradzieży.

Uciekając, uświadomił sobie, że jeśli Henryk Nawarski nie zginie, on jest okryty hańbą po wsze czasy. A więc król Nawarry musi zginąć, i to jaknajprędzej. Jeden podstępny wystrzał z pistoletu nastawionego zbira — i koniec!

Do uszu księcia doleciał odgłos maszerującego oddziału. Ukrył się we wnęce jakiejś kamieniczki i czekał.

Ujrzał Crillona, postępującego na czele swych żołnierzy.

A więc dom Rochibonda jest osaczony. Nie wątpił już w to.

Ochłonął z przestachu i zaczął obmyślać plan działania.

Skoczył do pierwszego posterunku milicji mieszczkańskiej, składającej się z gorących katolików i członków Ligi, a więc wrogów króla.

Jedni spali, inni grali w kości lub pili.

Wszyscy byli uzbrojeni.

Książę wpadł na posterunek, jak szalony, wołając:

— Do broni! Królewscy ludzie chcą uwięzić Rochibonda i przywódców mieszczaństwa! Za mną! Za mną!

## XVI.

Słyszając głos księcia de Crillon księżna de Montpensier podniosła się gwałtownie z fotela, twarz jej nabrała wyrazu niezłomnej decyzji i energii, porwała za pistolet, zatknięty za pasem.

Crillon nie przestawał wołać:

— Otworzyć! otworzyć straży królewskiej!

Księżna rzuciła rozkaz:

— Zamknąć wszystkie drzwi! Brońmy się!

Zaczęto barykadować wejście.

Rochibond, najodważniejszy ze wszystkich zgromadzonych, wyrzwał przez okno i zapytał de Crillona, czego chce od spokojnych mieszczan:

— Chcemy przede wszystkim, abyście złożyli broń...

— Jesteśmy obywatelami miasta Paryża, członkami Świętej Ligi i broni nie złożymy.

— A jeśli to jest woła króla?

— Nawet mimo woli króla! brzmiała odpowiedź.

— Poza tem chcemy, żebyście nam wydali księcia Henryka Gwizjusza.

— Księcia Gwizjusza niema w naszym gronie.

— A więc księżnę Annę Lotaryńską.

— Odmawiamy wydania jej.

— W takim razie, moje dzieci, przystąpimy do oblężenia. Wystrzelamy ich, jak zające!

Rochibond znikł z okna, wyrzwał niemiłosiernie innego mieszczanina, błysnęło, rozległ się huk wystrzału i kula ugodziła w same piersi jednego z gwardzistów.

— Tam do djabła! zanosi się na wielką grę! bąknął Mauvepin, porwał za pistolet, wycelował w mieszczanina, stojącego z trjumfującą miną w oknie, mieszczanin padł, jak rażony piorunem.

Bitwa zawrzała na dobre.

Crillon, uzbrojony w topór, nie zważając na grad kul, świszczących mu koło uszu, zabrał się do wyrąbywania drzwi.

Po chwili żołnierze wdarli się do przedsionka i zwarli się z uzbrojonymi mieszczanami.

Słyszając wystrzały, część żołnierzy, pozostawionych przez Crillona w ciasnej uliczce, wdrapała się przez parkan do ogrodu, śpiesząc na pomoc oblegającym.

Na ich czele stał mężczyzna w masce.

— Mamy teraz sprzymierzeńca nielada! zawołał Mauvepin na jego widok.

Jakkolwiek ranny w głowę, i broczący krwią błazen królewski bił się, jak lew.

Crillon nie wyjął z pochwy szpady, wywijał kolbą muszkietu, wołając, że szpada jest zbyt szlachetną bronią w walce z mieszczactwem.

Księżna de Montpensier, która, nie bacząc na grożące jej niebezpieczeństwo, walczyła w pierwszych szeregach, na widok zbliżającego się do siebie Crillona porwała za pistolet i dała ognia, wołając:

— Mości kawalerze, król poniesie wielką stratę, gdy pana zabraknie w szeregach jego obrońców.

Kula pistoletowa strzaskała kość prawej ręki dzielnego Crillona.

Z piersi jego wydarł się okrzyk wściekłości, ramię opadło bezwładnie, nie dał jednak za wygraną i porwał za szpadę lewą ręką.

— Wasza Wysokość źle wymierzyła, król stracił tylko moją prawą rękę. Gdy zajdzie tego potrzeba, potrafię być mańkutom!

W tej samej chwili nadciągnął z pomocą mężczyzna w masce.

— Bij! Zabij! krzyczał de Crillon, atakując cofających się w rozsypce mieszczan.

— Ostrożnie z piękną panią! krew kobiety przynosi nieszczęście! wołał mężczyzna w masce do gwardzistów.

Księżna de Montpensier na widok niego drgnęła, wydała gniewny okrzyk, poznała bowiem, kto nadbiegł oblegającym z pomocą. Zmierzyła do niego padł strzał, lecz tym razem chybiła.

Henryk Nawarski skoczył w jej stronę, przesadzając trupy poległych, wytrącił jej broń z ręki i porwał ją w ramiona, wołając:

— Nareszcie spotkaliśmy się znowu, piękna kuzynko!

Teraz atakujący byli już zupełnie panami sytuacji.

— Zwycięstwo! zawołał Crillon, zapominając zupełnie o swem strzaskanem ramieniu.

— Niezupełnie! mruknął Mauvepin, nad słuchując.

Od strony ulicy rozległ się wrzask licznych głosów:

— Śmierć sługusom królewskim!

To Gwizjusz prowadził mieszczan do ataku.

Crillon obrzucił okiem pobojuwisko i zapytał z niezmaconym spokojem:

— Ilu nas zostało, mój Mauvepin? Będziemy musieli my z kolei wytrzymać oblężenie.

— Piętnastu żołnierza zdatnego do walki.

— Wasza Królewska Mość i ja — to jeszcze dwudziestu, razem, — trzydzieści pięć szabel, rzekł dzielny pułkownik do Henryka Nawarskiego.

— Odpowiadam za dwanaście godzin, zawołał król Nawarry, zrzucając z twarzy maskę.

— Zabarykadujmy się!

— A ja lecę po szwajcarów, wykrzyknął Mauvepin.

— Jakich.

— Królewskich.

Zwinnie, jak małpa, wdrapał się po linie do izdebki Piotrusi, która zemdląła ze przestachu na odgłos bitwy, wypadł na ulicę i, przedzierając się przez tłum mieszczan, darł się w niebogłosy:

— Z drogi! Niech żyją prawowici katolicy, szlachetni członkowie Świętej Ligi, walczącej z niecnym królem Henrykiem!

Tłum rozstał się, biorąc go za jednego ze swoich.

Mauvepin rzucił się pędem w stronę Luwru, gdzie nic jeszcze nie wiadano o walce.

## XVII.

Król tymczasem, pełen najlepszych myśli, robił na podwórzu Luwru przegląd szwajcarów.

Gdy Mauvepin, zalany krwią, wpadł na dziedzi-  
niec, jeden z żołnierzy, który go nie znał, nie wiedząc,  
z kim ma do czynienia, porwał go za kołnierz i powlókł  
przed króla.

— Jak ty wyglądasz? wykrzyknął Henryk III na  
widok swego faworyta.

— Mieszczanie walczą z naszymi na barykadach!  
zawołał bez tchu wesołek królewski.

— Oszalałeś! wykrzyknął król.

— Zdobywają dom mieszczanina Rochibonda.

— A cóż mnie to obchodzi? Dom Rochibonda nie  
jest Luwrem: niech się Rochibond broni.

— Ale nie on musi się bronić, lecz Crillon!

— Crillon?!

Mauvepin w paru słowach opowiedział przebieg  
walki.

Król po wysłuchaniu sprawozdania wzruszył ra-  
mionami i rzekł:

— Tem gorzej dla Crillona! Sam sobie winien!  
Dlaczego złamał mój rozkaz!

— Ależ, Sire, jeśli nie przyjdziemy mu z pomocą — zginie!

— Ba! Już on się wykaraska z tej opresji! Gracz z niego przedni!

— Lecz ma przeciw sobie około trzystu uzbrojonych mieszczan.

— Ejże!

— Sire, czyż pozwolisz zginąć Crillonowi i swym gwardzistom?!

— Zbierz więc resztę gwardzistów i spiesz im z pomocą.

— Muszę mieć szwajcarów!

— Szwajcarów?! Oszalałeś chyba! Dopiero co odbyli marsz do Paryża, są zdrożeni, muszą wypocząć, i ja mam ich posyłać głupim mieszczanom na łup?!

Z temi słowy odwrócił się plecami do Mauvepina.

— Zatrzymaj więc, Sire, swoich szwajcarów; ja idę zginąć przy boku Crillona.

Odepchnął żołnierza, pełniącego straż przy furtce wejściowej, i rzucił się na ulicę.

Tymczasem Crillon bił się zaciekle.

Z piętnastu broniących się żołnierzy pozostało tylko dziesięciu.

Lecz tych dziesięciu biło się za trzydziestu.

Crillon i król Henryk dokonywali cudów waleczności.

Henryk przystawił do księżnej Montpensier wartownika:

— Jeżeli będzie usiłowała zbiec, zabij ją, brzmiał rozkaz.

Gdy Mauvepin przedostał się do obleżonych i opowiedział o przyjęciu, jakiego doznał od króla, król Henryk mruknął:



— A więc trzeba będzie zwyciężyć, albo zginąć!  
i... położył trupem jeszcze jednego mieszczanina.

— Nie, Sire, odparł de Crillon, Wasza Królewska Mość nie może zginąć, tron francuski nie może zostać bez następcy.

Wzrok jego błysnął ogniem nagle powziętej decyzji:

— Naprzód!

Wskazał zdrową ręką na księżnę de Montpensier i oświadczył:

— Oto nasza tarcza !

Król Nawarry zrozumiał wlot jego myśl i porwał księżnę w ramiona, zasłaniając jej ciałem siebie i towarzyszy broni.

Strzelanina nagle ustała. Mieszczanie obawiali się, że, mierząc do wrogów, zranią ich brankę.

Wtedy Mauvepin przyłożył do gardła księżnej sztylet i, zwracając się do zbuntowanych mieszczan, zawołał:

— Jeśli nas nie przepuścicie, — zginie!

Rozpoczął się bohaterski odwrót, trwający całą godzinę.

Tłum w milczeniu rozstępował się przed dziesięciu śmiałkami, Mauvepin trzymał ciągle sztylet przy gardle branki... posuwali się zwolna naprzód.

Na ulicy Św. Antoniego z jakiegoś okna padł strzał, księżna wydała okrzyk przerażenia, Mauvepin nacisnął sztylet, a tłum zaczął wołać:

— Nie strzelać! Nie strzelać!

Wreszcie bramy Luwru rozwarły się przed uciekinierami.

— Pani, rzekł Henryk, stawiając księżnę na ziemi: już nam nic nie grozi, dziękuję za opiekę.

Wbiegł na ganek Luwru.

Crillon, wyczerpany upływem krwi, padł w ra-

miona Mauvepina, mniej poważnie rannego, szepcząc:  
— Zdaje mi się, że tym razem już jest po mnie!  
Zemdlał.

Na chwilę jeszcze otworzył oczy i wybełkotał:

— Powiedzcie królowi, że dobrze zrobił, oszczędzając szwajcarów.

Zemdlał ponownie.

Po całym Luwrze rozbiegła się hjobowa wieść.

— Crillon nie żyje!

## XVIII.

Z nastaniem dnia Paryż przybrał znowu swój codzienny wygląd. Nocny deszcz zmył ślady krwi; uprzątnięto trupy mieszczan i gwardzistów, wszystko pozornie wróciło do normy, tylko król przez całą noc nie zmrużył oka i tylko książe de Crillon był między życiem a śmiercią.

Przy łożu chorego czuwał lekarz królewski i nowy jego przyjaciel Mauvepin.

Wreszcie medyk oświadczył, że życiu dzielnego pułkownika nie grozi niebezpieczeństwo, stan jednak jest bardzo ciężki.

Około szóstej rano do komnaty króla, który już był na nogach, wszedł Mauvepin blady, zmęczony, z obandażowaną głową, z ręką na temblaku; utykał więcej, niż kiedy.

Król przyjął go zimno, lecz wesołek królewski, obrażony na swego pana o Crillona, nic sobie z tego nie robił.

Na wszystkie wymówki królewskie odpowiadał zjadliwie i opryskliwie, bronił Crillona z pianą u ust, wreszcie oświadczył, że czuje się źle i musi udać się do swych dóbr w Langwedocji, bo powietrze Luwru nie jest zdrowe dla ludzi rannych. Zresztą zrzeka się

godności królewskiego wesołka na rzecz jednego ze szwajcarów, którzy są teraz w takim poszanowaniu u króla.

Monarcha, słuchając gderania i docinków Mauvepina, na razie zżymał się potem udobruchał się i ani słuchać nie chciał o zwolnieniu swego faworyta. Przeciwnie kazał mu przygotować się do towarzyszenia sobie na uroczystości pogrzebowe w St. — Denis.

Próżno Mauvepin próbował przekonać króla, że należy odłożyć uroczystość, że cały Paryż wre i że może po powrocie zostać Luwr w rękę zbuntowanych mieszczan. Król się zaciął i ani słuchać nie chciał mądrej rady.

Nagle za oknami pałacu królewskiego wszczął się gwar, król wyrzwał przez okno i zobaczył oddziałek zbrojny zmierzający do bram Luwru.

Na czele oddziałku jechał Henryk Gwizjusz.

— Ho! ho! zdziwił się król, mój kuzynek coś bardzo wcześniej składa mi wizytę. Czego on może chcieć?

— Chcę się widzieć z królem! rozległ się donośny głos Gwizjusza tuż pod wrotami.

— Król śpi!

— To niech go zbudzą! odparł księżę wzgardliwym tonem.

Król wychylił się przez okno i zawołał:

— Wpuścić księcia!

Wrota rozwarły się i księżę wjechał na podwórzec.

— Sire, rzekł Mauvepin, prosiłbym o pozwolenie pozostania w sąsiednim pokoju.

— POCO?

— Chcę zrobić małe doświadczenie, potem powiem, o co mi chodziło.

Gwizjusz wszedł na pokoje królewskie w pełnej

zbroi ze szpadą i sztyletem przy boku. Na zbroi widniał biały krzyż — herb Lotaryngji.

Król był jeszcze nieubrany, z gołą głową i w ranych pantoflach.

Gwizjusz był uosobieniem zdrowia i siły; Henryk mimo swoich trzydziestu i jeden lat wyglądał na starca.

— Sire, zabrał głos Gwizjusz — przychodzę ze skargą na ludzi Waszej Królewskiej Mości.

— Tak? rzekł spokojnie król, zajmując miejsce w fotelu, ozdobionym herbami Francji.

— Prosisz, kuzynie, o posłuchanie, nieprawdaż?

— Tak.

— W imieniu króla Niemiec, Hiszpanji czy też jakiegoś innego monarchy?

— Wasza Królewska Mość żartuje chyba?

— Nie, bo jeśli księżę Lotaryngji przychodzi we własnem imieniu do króla Francji, powinien pamiętać, o tem, że nie staje się przed królem ani z nakrytą głową, ani z bronią przy boku.

Słowa te były wypowiedziane z zabójczą ironją. Krew Walezjuszów przemówiła ustami ostatniego z rodu.

Księżę spąsował z gniewu, zimny wzrok jednak króla utrzymał go na wodzy; wybełkotał jakieś niewyraźne usprawiedliwienie, zdjął hełm, pancerz i odparał broń.

— Teraz możemy ze sobą, pomówić, kuzynie — rzekł król. Mów więc, o co chodzi?

— Twoi ludzie zamordowali tej nocy kilkunastu mieszczan.

— W Nancy?

— Nie, w Paryżu.

— To są moi poddani, a więc sprawa ta nie powinna cię tak żywo obchodzić.

— Ale to są członkowie Św. Ligi, i ja...

— Zapominasz o tem, kuzynie, że ja jestem jej najwyższą władzą.

Gwizjusz przygryzł wargi.

— Twój ludźcie, Sire, napadli na dom Rochibonda, w chwili kiedy znajdowała się tam moja siostra, księżna de Montpensier.

— Twoja siostra, kuzynie, i mieszczanie, knuli tam jakieś spiski.

— To fałsz!

— Księżę de Crillon zapewnia, że tak było istotnie.

— Crillon kłamie.

— Szkoda, że nie może zaświadczyć osobiście, ale jest ciężko ranny i doktor nakazał mu spokój.

— Wasza Królewska Mość wierzy tej głupiej bredni?

— Ani wierzę, ani nie! Poprostu zadaję sobie pytanie, co księżna de Montpensier może mieć wspólnego z mieszczanami?

— Omawiali wspólnie sprawę Św. Ligi.

— To co innego.

— Wasza Królewska Mość może nie wie o tem, że prócz Crillona był tam jeszcze...

— Pewnie mój błazen Mauvepin? Och, to znany awanturnik.

— Był jeszcze ktoś...

— Jego imię?

— Król Nawarry.

— Nieprawdopodobna! Król Nawarry sieje na pewno w tej chwili groch, albo szykuje beczki na wynobranie.

— Powtarzam, że król Nawarry jest w Paryżu i walczył wczoraj przy boku Crillona.

— Ostatecznie, nic dziwnego; Henryczek jest jego serdecznym przyjacielem.

— To jeszcze nie koniec. Nie dosyć na tem, że zawzięty przeciwnik Św. Ligi morduje jej członków, ale na domiar złego, po dokonaniu tego ohydneho czynu kryje się w murach Luwru.

— Przypuszczasz więc, kuzynie, że muszę go wydać mieszczanom?

— Naturalnie, w przeciwnym bowiem razie mieszczanstwo zbuntuje się przeciw tobie, Sire.

— Moi szwajcarzy, zrobią rychło porządek.

— Strzeż się, Sire!

— To ty raczej musisz się strzec, kuzynie, zawołał Henryk, powstając z fotela i dumnie podnosząc głowę.

— Ja?

— Tak, ty, radzę ci przemawiać do mnie z większym szacunkiem i wrócić, nie zwlekając, do Nancy.

— A jeżeli nie usłucham rady?

— Nie wolno wassałowi nie usłuchać rady swego monarchy! Mauvepin!

W progu stanął błazen królewski.

— Zawołaj d'Épernon'a.

— Mości d'Épernon, rzekł król do wchodzącego zastępujesz w tej chwili chorego pułkownika de Crillon; jako więc dowódca moich szwajcarów masz rozkaz aresztowania księcia Henryka Gwizjusza.

Henryk Lotaryński zbladł, jak ściana, i chciał porwać za szpadę, lecz zwinny, jak kot, Mauvepin uprzedził go i podał broń d'Épernonowi.

Rozgniewany król zawołał:

— Szwajcarzy! Do mnie!

Gwizjusz, pieniać się z gniewu, wykrzyknął:

— Lotaryńczycy, do mnie!

Król wrzucił ramionami:

— Jesteś nieprzezorny, kuzynie. Kazałem cię areztować z prostej ostrożności; jeśli jednak zechcesz stawić opór, albo jeśli jeden bodaj z twoich ludzi dobędzie broni, będziesz oskarżony o zdradę stanu i... ścięty u wrót Luwru, dokąd ośmieliłeś się przybyć z miną zwycięscy.

Ton mowy króla był suchy i stanowczy; oko błyszczało energją, Gwizjusz i Mauvepin patrzyli na niego ze zdumieniem. Nie był to już ów biedny przedwcześnie zestarzały, bezwolny król Francji; był to zwycięzca z pod Jarnac i Moncontour, był to godny swego dziada potomek Franciszka I.

Gwizjusz spuścił wzrok pod orlem spojrzeniem króla. Raz jeszcze jednak zapragnął spróbować szczęścia.

— Paryżanie, którzy mnie uwielbiają, oblegną Luwr i wyzwolą mnie.

— Mylisz się, kuzynie, albowiem głowa twoja spadnie ci z karku z tą samą chwilą, gdy padną pierwsze wrota Luwru. Panie d'Espéron, osadzić księcia pod strażą w jednej z sal Luwru. Pamiętaj, że odpowiadasz za niego głową.

Jeniec wyszedł, otoczony strażą.

— Daję słowo przegrałem zakład do siebie samego! zawołał zachwycony Mauvepin.

— A o cóż się założyłeś? zapytał król.

— Byłem pewny, że Wasza Królewska Mość, po pierwsze, podziękuje księciu za złożeniu mu wizyty..

— A po wtóre?

— Po wtóre, .... wyda mieszczanom króla Nawarry.



— A gdzie on jest?

— Tutaj, Sire, rzekł Henryk de Bourbon, wchodząc do pokoju króla w towarzystwie królowej Katarzyny Medycejskiej.

## XIX.

Widok królowej, wspartej na ramieniu Henryka Nawarskiego, tak zdziwił króla, że nie mógł się powstrzymać od okrzyku.

Królowa pośpieszyła wyjaśnić sytuację.

— Zawarliśmy z królem Nawarry przyjacielski traktat.

— Naprawdę?

— Tak. A wiesz, mój synu, co nas do tego skłoniło?

— Nie mam pojęcia.

— Wspólny wróg. Księżęta Lotaryngji.

— Nie taki djabeł straszny, jak go malują, odparł król pogardliwym tonem. Herszta tej bandy trzymam w ręku.

— Trzymaj go dobrze, mój synu, bo straszniejszy jest on, niż ci się zdaje. Zamień Luwr w fortecę, wystaw armaty, zgromadź całą siłę zbrojną, bo burza zawisła nad twą głową.

— Mam szwajcarów.

— Możesz mieć, Sire, i Bearneńczyków.

— Jakim sposobem?

— Ja ci ich dostarczę, oświadczył Henryk Nawarski.

— Nie mogę skorzystać z twej uprzejmości, Henryczku — to hugonoci, papież rzuci na mnie ekskomunikę.

— Teraz ja powiem: nie taki djabeł straszny, jak go malują. Jestem też wyklęty, a wcale dobrze mi się dzieje. Zapewniam cię, Sire, że to tylko kwestja przyzwyczajenia.

— Ja ze swej strony nadmienię, wtrąciła królowa, że sojusz z Henrykiem Nawarskim to jedyna na razie droga zduszenia hydry rebelji. Wierzaj mi, synu, sytuacja jest poważniejsza, niż ci się zdaje.

— Mogą sobie Paryżanie budować barykady, buntować się i wyprawiać różne inne brewerje, byle dziś nie zaczynali, bo za chwilę muszę jechać do St.-Denis. Nie mogę odłożyć pogrzebu.

— Ależ to szaleństwo, zawołała królowa.

— Postanowiłem i postanowienia nie cofnę, rzekł król stanowczym tonem.

---

Do pokoju, w którym umieszczono księcia Henryka Lotaryńskiego wszedł Mauvepin.

— Przychodzę w imieniu króla dowiedzieć się o zdrowie Waszej Księżęcej Mości.

— Powiedz mu, że czuję się lepiej od niego. Jestem zdrow, mam dużo włosów na głowie, podczas gdy on...

— To jeszcze nie jest gwarancją długiego żywota, Wasza Księżęca Mość.

— Jak mam to rozumieć?

— Niestety, bardzo prosto. Wasza Księżęca Mość jest na włosku od śmierci i w dodatku jego najserdeczniejsi przyjaciele mogą ją spowodować.

— Jakim sposobem?

— Ano, król wyjeżdża do St. Cloud na pogrzeb

księcia Andegawęńskiego; gubernatorem Luwru został mianowany książę de Crillon, który, jakkolwiek jest obłożnie chory, kazał postawić swe łóżko na korytarzu pod drzwiami Waszej Książęcej Mości. Mnie mianował król vice-gubernatorem, muszę więc wypełnić rozkazy króla i pana de Crillon co do joty.

— Jakież są te rozkazy?

— Bardzo proste i niemiłe dla Waszej Książęcej Mości. Z chwilą gdy na mieście wybuchną najmniej-sze bodaj rozruchy, posyłam po mistrza Caboche'a... Książę zadrżał.

— Mistrz przybywa z pieńkiem i toporem i... następuje żałosny koniec całej bohaterskiej epepei.

— Mów wyraźniej!

— Innemi słowy — śmierć, zakończył z powagą Mauvepin.

Gwizjusz zrozumiał, że nie może liczyć na litość. Crillon będzie nieubłagany, a król, jakkolwiek znany ze zmienności swego usposobienia, nie zmieni decyzji. bo go nie będzie w Luvrze.

— Co robić?

Po krótkiej chwili milczenia zwrócił się do Mauvepina z prośbą:

— Każ mi sprowadzić zakonnika.

— Poco?

— Chcę się wypowiedzieć; czuję bowiem, że zbliża się ostatnia moja godzina.

— Przezorność nigdy nie zawadzi, rzekł Mauvepin, starannie zamykając za sobą drzwi.

Po kilku minutach wrócił z mnichem, na którego widok oczy Henryka błysnęły radością.

Mnicha tego spotkał Mauvepin przed wrotami Luwru. Dużo się ich kręciło w pobliżu pałacu królewskiego, wszyscy bowiem byli zajęci uroczystościami pogrzebowymi.

De Crillon, widząc Mauvepina, wracającego z podwórza Luwru z mnichem, zapytał:

— Co tu robi ten klecha?

— Prowadzę go do księcia, który chce się wy-  
spowiadać.

— Ma rację, bo wątpię, by uszedł śmierci. Idź,  
mój ojcie, księżę Gwizjusz musi się śpieszyć!

— Czy mam zostać przy nich? zapytał Mauve-  
pin.

— Niema poco. Oknem go nie spuści, a jeśli ze  
chce wyjść drzwiami, strzelę mu w łeb, chociaż wła-  
dam tylko lewą ręką.

Po wpuszczeniu mnicha do pokoju księcia, Mau-  
vepin usiadł na łóżku Crillona.

— Tak, tak, mój drogi, odezwał się pułkownik,  
jedynym czynem, mogącym uratować księciu życie,  
jest napisanie przez niego kartki do księżnej de Mont-  
pensier, którą niepotrzebnie obdarzono wolnością; mu-  
si ją zawiadomić o tem, że za rebelję Paryżan odpo-  
wie głową. Cóż, kiedy król zapowiedział, że nie wolno  
przenosić żadnych kartek od jeńca do księżnej.

— A przypuszczasz pan, że Paryżanie przystąpią  
do ataku?

— Jestem tego pewny.

— A po dokonaniu egzekucji król będzie żałował  
tego, co uczynił.

— Cóż znowu! Pan, panie d'Épernon, otrzymasz  
za obronę Luwru tytuł marszałka Francji.

Rozmawiali dalej, gdy z pokoju księcia rozległo  
się pukanie do drzwi.

— To mnich, rzekł de Crillon, otwórz mu.

Mauvepin otworzył. Księżę stał przy oknie, od-  
wrócony plecami do drzwi. Mnich trzymał przy  
oczach chusteczkę.

— Biedny klecha! szepnął Mauvepin, przejął się dołą skazańca!

Mnich w milczeniu zmierzył ku wyjściu.

— Do widzenia, mój ojcie, rzekł Crillon, w chwili gdy Mauvepin zamykał drzwi.

— Mój ojcie, rzekł Mauvepin do mnicha, jeśli chcesz ocalić księciu życie, postaraj się o to, aby tłum zbuntowanych Paryżan rozszedł się spokojnie do domu.

Mnich kiwnął głową i zszedł ze schodów.

— Wiesz co, Mauvepinie, odezwał się Crillon, obawiam się, że, jeśli burza wybuchnie, nie zdążymy doprowadzić Caboche'a; obmyśliłem więc, że po pierwszym wystrzale, zamienionym z rebeljantami, wejdiesz do pokoju księcia i palniesz mu w łeb z pistoletu.

— Czy dajesz pan rozkaz w imieniu króla?

— Tak.

— W takim razie zgoda.

Nagle pod murami Luwru rozległ się odgłos wystrzału, kula świsnęła tuż koło ucha d'Epernona, wyglądającego oknem.

— Mój przyjacielu, spełnij twą powinność, rzekł Crillon uroczystym tonem.

Mauvepin porwał za pistolety i wpadł do pokoju księcia, de Crillon zaś zwrócił się do obecnych:

— Panowie, odsłonić głowy; módlmy się za duszę księcia de Guise, który rozstanie się za chwilę z tym światem.

## XX.

Gdy mnich wszedł do pokoju, Gwizjusz poznał w nim brata Alfonsa, którego przed paru dniami obronił przed napaścią rozwścieczonego żołdaka.

Henryk Gwizjusz padł na kolana przed spowiednikiem i zawołał:

— Ojcie, przed paru dniami dopomogłem ci do uratowania życia, dzisiaj ty dopomóż mi przygotować się godnie do śmierci.

— Do śmierci?! To niemożliwe!

— Tak jest jednak, niestety!

— Król nie odważy się.

— Król w dniu dzisiejszym jest decydowany na wszystko. Wydał rozkazy, które zostaną wykonane....

— Jesteś, Wasza Książęca Mość, prawą ręką Kościoła.

— To też po mej śmierci Francja wpadnie w herzeję.

— Co robić? Co robić? Nie wolno ci umrzeć! Bóg cię ocali!

— A więc módl się o cud.

Po chwili namysłu zakonnik zabrał głos.

— Mam myśl. Wasza książęca Mość jest tego

wzrostu, co ją, zamieńmy się ubraniem, ja zostanę, a Wasza Księżęca Mość opuścisz Luwr.

— Ależ, nieszczęsny, zginiesz z ręki siepaczy królewskich!

— Oddawna już błagam Boga o śmierć męczeńską. Więcej jesteś potrzebny kościołowi, Wasza Księżęca Mość, niż ja.

Po chwili wahania Gwizjusz przystał na propozycję mnicha.

---

Gdy Mauvepin wpadł do pokoju, chcąc zamordować księcia, i zobaczył brata Alfonsa, rzucił się jak wściekły ku wyjściu, wołając:

— Mnich! Mnich! zatrzymać mnicha!

Gwizjusz jednak był już daleko.

Przekroczył właśnie próg furtki, gdy rozległo się wołanie Mauvepina:

— Zatrzymać mnicha!

Księżę zrzucił z siebie szaty zakonne i skoczył w tłum z okrzykiem:

— Do mnie, Paryżanie! do mnie! jestem księciem Gwizjuszem!

Tłum odpowiedział radosnem: hurra!

Widząc, że jeńca już nie odzyska, Mauvepin, zatrzasnął furtę wejściową i rzucił się do strzelnic, z których wyzierały lufy kartaczownic.

Tłum zaczął nacierać; należało się bronić. Wy-rwał z rąk szwajcara lont, podłożył ogień. Kartaczownica bluznęła w tłum kartaczami. Rozległy się jęki, przekleństwa i krzyki.

Ludność Paryża odpłynęła narazie od murów Luwru i zaczęła wznosić pierwsze barykady.

---



Tymczasem król po odbyciu ceremonjału pogrzebowego, mimo namowy królowej Katarzyny, pozostał na obiedzie w pałacu biskupim.

Właśnie siedzieli przy stole, gdy wpadł goniec z hjobową wieścią o powstaniu i barykadach.

— Szwajcarzy dadzą sobie radę!

— Luwr oblężony... Pan de Crillon prosi o posiłki... Księżę Gwizjusz...

Nie dokończył... rzygnął krwią, padł na ziemię i skonał.

— Na koń, panowie! zawołał król, zrywając się od stołu.

Pognali do Paryża, co koń wyskoczy, gdy jednak stanęli pod bramą miejską przy Montmartrze, zastali bramę zamkniętą.

Na wezwanie w imieniu króla do jej otwarcia warta, złożona z mieszczan, odpowiedziała urągówkami.

Oddział szwajcarów, eskortujący króla, zaczął strzelać do mieszczan, ci odpowiedzieli również ogniem.

Jedna kula zabiła pod królem konia.

Dosiadł innego smutny i zgębiony; wypadek ten uważał za zły omen.

## XXI.

Tymczasem Henryk Nawarski, pożegnawszy króla, który nie chciał przyjąć ofiarowanej sobie pomocy, opuścił mury Luwru i w zbroi, na której widniał krzyż Lotaryński, kryjąc twarz pod maską, udał się do oberży Malicana.

Oberżysta narazie nie poznał swego monarchy, gdy jednak król Henryk zdradził przed nim swe incognito, zaczął go błagać, aby jaknajprędzej opuścił Paryż.

— Mój drogi, wiesz, że mnie niebezpieczeństwo, ani kule nie przerażają, zanosi się dziś na wielką grę — dlaczego nie mam się przyjrzeć, jak poddani wymawiają swemu panu posłuszeństwo. To bardzo budujące widowisko.

Na mieście było coraz niespokojniej, błędne kule zaczęły wpadać nawet do oberży; Malican stracił trochę na minie, król Nawarry śmiał się i popijał wino.

— Wasza Królewska Mość nie ma zamiaru dopomóc królowi Francji? zapytał Malican.

— Chciałem, lecz on nie chciał przyjąć pomocy od heretyka, a więc przyglądam się.

— Zresztą co mnie to wszystko może obchodzić? Wiesz co, zamknij swą budę i chodźmy do tego pocz-

ciwiny Jodelle'a, który mnie kiedyś gościł w swem mieszkaniu, kiedy to mój kuzynek Gwizjusz zrobił ze mnie sito. Zatrzymałem się u niego.

Otworzyła im córka Jodelle'a, Odeletka, ładna, dwudziestoletnia dziewczyna, która ongiś jeszcze, jako mała dziewczuszka, darzyła swą sympatją młodego księcia Nawarry. Sympatja ta, w miarę jak dorastała, rosła wraz z nią. Wzdychała nieraz na myśl, że królowa Małgorzata cieszy się doskonałym zdrowiem i że, nawet gdyby król był kawalerem, nie mógłby poślubić córki kupca.

Gdy się znaleźli w mieszkaniu Jodelle'a, król Henryk poprosił o nakarmienie go, bo, jak powiedział, umiera z głodu, potem spytał, co się dzieje z Noem, który też się zatrzymał u Jodelle'a.

— Szuka cię, Sire.

— A inni?

— Inni toż samo.

— Droga Odeletko, czy można wejść u was na dach?

— Czemu nie! Przez strych po drabinie.

— A więc zaprowadź mnie!

Strzelanina z muszkietów ustała. Kartaczownice waliły ciągle. Henryk z wysokości dachu zaczął się przyglądać.

Tłum zdobył sobie jakąś armatkę, dwie małe kołubrynki polowe i mierzył z nich do bramy Luwru.

Załoga pałacowa broniła się zaciekle.

— Dzisiaj nie poddadzą się, mruknął.

— I król wróci, rzekł Malican.

— Kto wie?

Na dach wdrapał się Noe, który powrócił właśnie z miasta.

— Chciałem już śpiewać po Waszej Królewskiej Mości requiem.

— Czynisz to zawsze, gdy mnie tylko przez dłuższy czas nie oglądasz. Jakie nowiny?

— Gwizjusz wy dostał się z Luwru...

— Tam do licha!

— I król Francji nie spędzi nocy w swym pałacu, jeśli mu nie pośpieszymy z pomocą.

— Czekaj, czekaj, mój drogi... Czy ty sądzisz, że, gdyby ludność Pau urządziła rebelję, król Henryk III przybyłby mi z pomocą?

— Śmiem wątpić.

— Otóż to... a więc zaczekajmy! Muszę się namyśleć...

Zaczął się znowu przyglądać bitwie.

## XXII.

— Najjaśniejszy Panie, rzekł Noe, nie możemy patrzeć na walkę z założonemi rękami; musimy poprzeć sprawę króla Francji, przecież to brat rodzony królowej Nawarry.

— Gadaj, gadaj, zaśmiał się Henryk, przyznaj się lepiej, że cię ręce swędzą.

— Nie rozumiem, co się z tobą stało, Sire...

— Co? jestem zmęczony po wczorajszej łaźni, przytem chcę jeszcze trochę poczekać. Zresztą, jeśli ci już tak bardzo pilno daj znak twoim ludziom.

Noe wdrapał się na komin i zatknął tam zawieszoną na ostrzu szpady błękitną chustkę.

— Zaraz się zgromadzą! Krążą w pobliżu, rzekł.

Tymczasem armaty Luwru zaczęły siać takie spustoszenie w szeregach zbuntowanych mieszczan, że tłum się przerzedził; na barykadach coraz mniej widać było ludzi.

Nawet przykład Gwizjusza, uwijającego się wśród walczących, nie wiele zdziałał.

Nagle nadjechał oddziałek konny, a na jego czele kobieta w szyszaku na głowie i ze szpadą w ręku.

— Ach! i piękna kuzynka przybywa na plac boju!

Przykład mężnie rwącej się do boju księżnej podziałał ożywczo na zniechęcony tłum. Znowu walka zawrzała.

— Jeśli teraz nie wystąpimy, zdobędą Luwr! zawołał Noe.

— Jeszcze chwila cierpliwości!

Błękitna flaga Noego powiewała na kominie kamieniczki Jodelle'a, a do drzwi wejściowych jęli powoli pukać jeden zbrojny po drugim. Tłum i sąsiedzi zaczęli się interesować, czyi stronnicy obrali tu kwaterę główną.

Wkrótce jednak, gdy w czeluściach kamieniczki znikło przynajmniej ze trzydziestu chłopów, wszczął się tumult. Wszyscy Gaskończycy jęli wołać: Niech żyje Liga!

Tłum się uspokoił; teraz był pewien, że ma do czynienia ze swoimi.

To też gdy towarzysze Noego zaczęli u wylotu uliczki wznosić barykadę, niejeden z mieszczan pośpieszył im z pomocą.

Wkrótce rozpoczęła się strzelanina tuż przy domku Jodelle'a. Gdy księżna de Montpensier ukazała się u wylotu ulicy, z barykady posypały się na nią strzały, jednocześnie jednak Gaskończycy wołali:

— Wiwat msza! wiwat Liga!

Księżna przekonana, że barykada jest obsadzona przez członków Ligi, zaczęła wołać:

— Ci ludzie biorą mnie za kogoś innego! Sądzą, że jestem stronnice króla.

Więc kazała zawiesić na końcu piki biały sztandar na znak, że chce parlamentować.

Na widok białego sztandaru strzelanina ustała i znowu z barykady popłynął okrzyk:

— Niech żyje msza! Niech żyje Liga!

Księżna, nie podejrzewając zasadzki, zbliżyła się do samej barykady, powtarzając za tłumem:

— Niech żyje Liga!

Otoczył ją tłum mieszczan, a wśród nich przeważająca ilość Gaskończyków.

— Paryżanie! przemówiła do tłumy, niedługo już zdobędziemy Luwr! Wtedy obierzemy sobie innego króla.

— Tak! tak! wołał tłum.

— Jeśli chcecie — mego brata Henryka Gwizjusza!

— Niech żyje król Henryk Gwizjusz! ryknęła znowu gawiedź i jeszcze ciaśniejsem kołem otoczyła księżnę.

— No, teraz zaczniemy działać, rzekł król Nawarski, stojąc w oknie z dobytą szpadą, potem zawołał donośnym głosem:

— Nawarro, do mnie!

Nagle Gaskończycy, którzy przed chwilą tak gorliwie wrzeszczeli na rzecz Ligi, wydali jednogłośnie okrzyk:

— Niech żyje król Henryk III.

Księżna i jej najbliższa świta oraz mieszczanie, przekonani, że walczą za Ligę, zostali wzięci przez Gaskończyków w dwa ognie.

Jednocześnie z okien kamieniczki Jodelle'a posypały się strzały.

— Oto moja zemsta za wszystkie intrygi przeciw mnie knowane, szepnął Henryk Nawarski!

— Zdrada! Zdrada! zaczęła wołać księżna de Montpensier: huk jednak wystrzałów zagłuszył jej wołanie.

### XXIII.

Jakkolwiek wieść o ucieczce Gwizjusza wstrząsnęła Crillonem, nie przygnębiła go jednak. Owszem, dzielny wojak, złorzecząc sobie za swe gapiostwo i łatwowierność, wstał z łoża o własnych siłach, ubrał się i postanowił osobiście kierować obroną. Ponieważ był wyczerpany utratą krwi, nie mógł długo ustać na miejscu, ani dużo chodzić; to też dwóch gwardzistów obnosiło go po podwórzu zamkowym na skrzyżowanych muszkietach, jak w lektyce.

D'Epéron był, tak przerażony ucieczką Gwizjusza, odpowiedzialnością, jaka na niego za to spadała, wreszcie atakiem mieszczan na Luwr, że tylko zimna krew Crillona i szydercze słówka Mauvepina podtrzymały w nim jako tako ducha.

Wesołek królewski raz jeszcze zmienił skórę: przedzierzgnął się teraz w artylerzystę i tak walił z armat, że aż bębunki w uszach pękały.

Mieszczanie gęsto padali trupem, ale barykady jak stały, tak stały, a sytuacja oblężonych nie polepszyła się, lecz raczej — pogorszyła.

Wszyscy przypuszczali, że królowi nie uda się przedrzeć przez zrewoltowane miasto do Luwru, że wobec tego należy liczyć na siebie tylko i że wypad na



miasto, nie oczekujące tego, dopomoże oczyścić je z niepożądanych, buntowniczych żywiołów.

Crillon zgadzał się na wypad, lecz zwlekał, jakby na coś wyczekiwał.

Przy pomocy d'Épernona i Mauvepina udał się na wieżę zamkową, skąd mógł się przyjrzeć przez lunetę połowę terenowi walki, wszystkim barykadom (a było tego sporo), i walczącym.

W pewnej chwili jednak jego bystre oko dojrzało sygnał, wywieszony przez Noego.

Ucieszył się.

— To znak, że Nawarra czuwa. Jeśli król Henryk zechce nam dopomóc, wygrana będzie po naszej stronie.

Nakoniec ujrzał manewr Gaskończyków i zwabienie księżnej de Montpensier w pułapkę:

— Wiwat! niech żyje król Nawarry! zawołał. Panowie, na koń! Teraz możemy zrobić wypad zupełnie bezpiecznie; Paryż podda się, wygrana będzie po naszej stronie, a to dlatego, że król Henryk Nawarski jest z nami!

— — — — —  
— — — — —  
Zastawszy bramy Paryża zamknięte i mieszczan nieskłonnych do ustępstw, król postanowił cofnąć się do St.-Cloud i tam dopiero zorjentować się, co czynić dalej wypada.

— Przytem wiesz, mój drogi, rzekł do młodego oficera, imieniem Joyeuse, dzień dzisiejszy to feralny dzień w mojem życiu; świadczy o tem moc znaków; a więc: koń, na którym dziś udałem się w drogę, był biały, tegoż konia ubito pode mną, a wszystko to dzieje się w piątek! Dlatego też wolę zawrócić z drogi, bo jeszcze gotowi mnie gdzie ubić

Niemilknące odgłosy wystrzałów dodawały królowi otuchy. Biją się, a więc jeszcze się bronią.

— Oho! już tam Crillon nie da sobie w kaszę dmuchać. Żałuję tylko ogromnie, że tak się popieszyłem z tym rozkazem ścięcia Gwizjusza. Ostatecznie niechby sobie żył! A Crillon nie daruje — już widzę papieża, rzucającego na mnie anatemę za tego zacieklego ligistę.

Gdy wreszcie przybył do St. Cloud, zamknął się w swych pokojach i nie chciał już o niczem słyszeć.

— Do diabła z całym Paryżem, Ligą, hugonotami i katolikami! Jestem zmęczony, kładę się do łóżka i proszę mi nie przeszkadzać.

Usnął, ukołysany do snu dźwiękiem wystrzałów armatnich.

Gdy się zbudził, była noc.

Wyskoczył z łóżka i otworzył okno, wychodzące na Sekwanę. Wdali czerniał las Buloński i jarzył się światłami Paryż.

Huk armat ustał.

— Albo Crillon dał łupnia Paryżanom, albo Paryżanie zdobyli Luwr, pomyślał z niepokojem.

— Oby tylko nie zrobili jakiej krzywdy memu biednemu Mauvepinowi, rzekł do siebie półgłosem.

Nagle usłyszał za sobą jakieś ciche westchnienie.

— Kto tam? zawołał.

Żadnej odpowiedzi, tylko jeszcze jedno westchnienie.

— Kto tam? powtórzył.

Z alkowy dało się słyszeć jeszcze jedno westchnienie, po którym rozległ się jakiś daleki, jakby z zaświatów płynący głos:

— Módl się, królu, za tych, co rozstali się z tym światem.

Król Henryk zdrętwiał z trwogi.

— Czyj to jest głos? zapytał lękliwie.

— To głos duszy Mauvepina, brzmiała odpowiedź.

Król wydał okrzyk przerażenia i zimny pot okrył mu czoło.

— Mauvepin, Mauvepin, gdzie jesteś, mój klejnociku?

— Jestem trupem, Sire. Zginęłam na murach Luwru.

— Jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy pod słońcem. A wszystkiemu winien księżę Gwizjusz.

— Jakto, a więc nie ścięto go?

— Uciekł przy współudziale mnicha, spowiednika.

— Ładnieście go pilnowali wraz z Crillonem Niezdary!

— To prawda! jęknęła dusza Mauvepina.

— I to Gwizjusz cię zamordował?

— Tak, Sire...

— Luwr zdobyty?

— Nie, trzyma się jeszcze.

— A księżna de Montpensier?

— Jako umarłak mogę mówić szczerze. Gdybyś, Sire, nie wypuścił tej baby z rąk, Paryżanie siedzieliby cicho a... ja, żyłbym...

— Mój klejnocie, mówisz tak rozsądnie; przyznaj się, czy naprawdę nie żyjesz?

— Naprawdę, Sire, ale, jakkolwiek już duch tylko, chcę ci udzielić, pewnej rady.

— Słucham cię, mój skarbie.

— Otóż pozostań, królu, w St.-Cloud przez kilka dni; Crillon da sobie radę z powstańcami bez ciebie. Ty, królu, nie masz do takich rzeczy zdrowia.

Aby jednak oduczyć Paryżan na zawsze od spiskowania i rebelji, weź pióro i inkaust i napisz pod me dyktando dokument, który dostarczę Crillonowi.

— Jakto? ty — duch?!

— A cóż takiego? Duch wszystko może!

— Ależ ja nie mogę pisać po ciemku.

— Zaraz zabłyśnie światło.

Zgaszona już przez króla pochodnia, leżąca na gierydonie, zapłonęła nagle mdłym światłem. Król rozejrzał się po pokoju; pokój był pusty.

— Gdzie jesteś, mój mały?

— Tuż przy tobie, królu.

I rzeczywiście głos ducha dzwiewczał tuż nad uchem królewskim.

Przestał się już dziwić, bo to i tak na nic się nie zdało.

— I cóż mam napisać? zapytał.

„Dnia dzisiejszego (należy postawić datę) ja, król Francji, mianuję księcia de Crillona gubernatorem Paryża, upoważniając go do wytoczenia procesu księżętom i innym rebeljanom. Sprawę tę ma rozważać Parlament“. A teraz podpis, pieczęć i obietnica, że pozostaniesz przez ośm dni w St. Cloud.

— Niech się stanie podług twej woli.

— Dziękuję.

W tej samej chwili pochodnia zgasła.

— Co robisz? zawołał król.

— Odchodzę.

— Mauvepin! Mój mały! Mauvepin!

— Zegnaj, Sire, pamiętaj o obietnicy.

Król zaczął wołać na jednego ze swych paziów, śpiących w sąsiednim pokoju.

Paź zapalił pochodnię, król stwierdził, że napisany przez niego pergamin znikł tajemniczym sposobem ze stołu. Najstaranniejsze poszukiwania, nie dały żadnych wyników, wkońcu król znużony położył się.

## XXIV.

Król Nawarry i de Crillon stłumili na razie powstanie. W mieście zapanowała cisza grobowa, na każdej barykadzie stało dwóch szwajcarów w pełnym rynsztunku, pilnując porządku; w Luwrze odbywała się narada.

— D'Espéron, nieco pokrzepiony na duchu, oświadczył:

— Zdaje mi się jednakowoż, że jesteśmy panami Paryża.

— Prowizorycznie — tak, odparł de Crillon.

— Największem zwycięstwem jest to, że mamy jeńca, w osobie mej pięknej kuzynki pani de Montpensier. Noe i Lahire dobrze jej pilnują, dodał król Nawarry.

— Wierzę. Wolałbym jednak być w posiadaniu Gwizjusza, rzekł de Crillon.

— Cóż kiedy ten zbiegł w nocy do Nancy.

— Najgorsze z tego wszystkiego jest niezdecydowanie i zmienność usposobienia króla, narzekał dalej Crillon; jeżeli na nasze nieszczęście wróci do Paryża wcześniej, niż za trzy dni, wszystkie nasze plany pójdą w niwecz.

— Niema obawy! Nie wróci! rzekł Mauvepin, sta-

jąc w progu. Odegrałem cudowną komedję; król uwierzył, że nie żyję i duchowi memu wydał ten dokument.

To mówiąc położył na stole pergamin, napisany przez króla w St. Cloud.

— Przemawiałem do niego z sufitu, z komina, ze ściany, jak teraz do was, moi panowie...

Wszyscy otworzyli szeroko oczy. Głos Mauvepina zdawał się płynąć skądś z powietrza, z przedmiotów, tylko nie z ust uśmiechniętego wesółka.

— Jesteś czarownikiem! zawołał de Crillon.

— Broń Boże! Tylko brzuchomówcą.

Tym razem głos Mauvepina ulokował się na ramieniu de Crillona.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Paż ukrył mnie w dużej skrzyni, w której król trzyma swe szaty, i stamtąd wiodłem z nim rozmowę.

— A więc możemy jeszcze dzisiejszej nocy zwołać posiedzenie nadzwyczajne Parlamentu, który trzyma stronę króla, rzekł de Crillon.

— Tak, tylko jest rzeczą wątpliwą, czy odważy się skazać na śmierć księżnę de Montpensier, zrobił uwagę Mauvepin.

— Świadectwo braciszka zakonnego ułatwi nam sprawę.

— O ile wogóle zechce świadczyć.

— Tortury rozwiązują język.

— A ja wam powiadam, rzekł de Crillon, że najlepiej było skazać na śmierć tego Kubusia.

— Ależ to tylko narzędzie zbrodni, nie zbrodnicza ręka.

— Nie wiem, ale mam jakieś straszne przeczucie grożącego z tej strony nieszczęścia.

— Nerwy! mości de Crillon, pozwól mi pan pójść

do celi tego rzezimieszka, a może zeń co wydobędę. Wasza Królewska Mość, rzekł zwracając się do Henryka Nawarskiego, lubisz się pośmiać, gwarantuję za bardzo wesoły seans.

Gdy stanęli pod drzwiami celi więziennej, Mauvepin zajrzał przez okienko, a potem, lokując głos tuż nad uchem Kubusia, przemówił:

— Kubusiu! Kubusiu!

Braciszek zakonny zbudził się.

— Mój Boże! kto przemawia do mnie?

— Boski wysłannik, który chce cię wybawić od mąk piekielnych.

Kubuś uczuł dreszcz trwogi, zwłaszcza, że księżyc oświetlał bardzo jasno celę i Kubuś widział, że jest sam.

— Czego chcesz ducha?

— Powiedzieć ci całą prawdę, odparł tajemniczy głos, dobywający się z poduszki.

— Och, jakież to szczęście! Tak chciałbym wiedzieć?

— Co?

— Czy jestem mnichem, czy też szlachcicem.

— Jesteś mnichem; zadrwiono z ciebie, chcąc cię przytem zmusić do popełnienia zbrodni.

— Co mówisz?!

— Alboż nie miałeś być mordercą króla?

— A raczej djabła, który przybrał jego postać.

— Mylisz się, był to król we własnej swej osobie, mówię ci to ja, duch, który wszystko widzi i wszystko wie. Otóż, szedłeś złą drogą — otumaniono cię — Bóg jest po stronie króla.

Tu wdał się w zawiłe wyjaśnienia postępków króla względem Kubusia, zapewniając, że został obity przez dworaków przez pomyłkę; król bowiem nie miał do niego żadnych pretensyj, bo miał na pieńku z jakimś



innym zakonnikiem, który, jadąc na Baltazarze, ośmielił się wykrzykiwać: „Precz z Walezjuszami! Niech żyje Liga!“ Król poznał osła, a pomylił jeźdźca, stąd całe nieporozumienie.

— Jeśli tak było, to co innego, oświadczył pełen dobrej woli Kubuś, — cóż więc teraz muszę uczynić?

— Wyznać całą prawdę przed Parlamentem, w przeciwnym bowiem razie czekają cię tortury...

Tu zaczął tak malowniczo opisywać obrazy tortur, że biednemu Kubusiowi włosy zjeżyły się ze strachu i drżącym głosem przysiągł opowiedzieć wszystko.

— Jeśli wyznasz całą prawdę, uratujesz monarchję, za co czeka cię nagroda z rąk króla.

— Jaka?

— Mianuje cię przeorem, ozwał się głos, wychodzący z pod ziemi. Żegnaj więc, Kubusiu! do jutra!

— No i co, Sire, czy nie jestem cudotwórcą? zapytał Mauvepin Henryka Nawarskiego, gdy opuszczali podziemie więzienne.

— Jesteś niezrównany, mój drogi, odparł król Henryk śmiejąc się.

Tymczasem Kubuś modlił się żarliwie do Boga, błagając o przebaczenie za zbrodnię, którą chciał popełnić, co prawda w dobrej intencji, lecz... zbrodnia jest zawsze zbrodnią.

Nagle ciszę nocy zakłócił szmer, wydobywający się, jakby z pod ziemi.

Kubuś nadstawił ucha. Słyszał wyraźnie odgłos rozgrzebywanej łopatą ziemi; wreszcie tuż z pod łóżka wyjrzała głowa uzbrojonego mężczyzny, w którym poznał brata Antoniego, swego niby to wuja.

— Przychodzę w samą porę! wyszeptał pseudo kapitan, porywając z celi osłupiałego ze zdumienia Kubusia.

## XXV.

Zgromadzony w Luwrze Parlament miał rozpocząć sąd nad Anną Lotaryńską księżną de Montpensier, oskarżoną o najwyższą zdradę stanu.

Przewodniczący Parlamentu pan de Hartey oświadczył, że otworzy posiedzenie jedynie pod warunkiem, że wrota Luwru zostaną otwarte dla każdego i że obrady sądowe będą zupełnie jawne. Crillon, acz bardzo niezadowolony, przystał na ten warunek, ludzie jednak królewscy zaczęli rozpuszczać po mieście wersje, że jakkolwiek każdy ma wolny wstęp do Luwru, lecz nie każdy będzie mógł wyjść stamtąd. Nastraszony tłum nie kwapił się tedy z przyjściem.

Gdy księżnę de Montpensier wprowadzono na salę obrad, jednym z pierwszych, na kogo padł jej wzrok, był Leo d' Arnembourg, przebrany za wyrobnika. Siedział spokojnie w gronie mieszczan, przybyłych na obrady. Wzrokiem nakazywał jej spokój i dawał otuchy.

Odetchnęła. Promyk nadziei rozjaśnił ciemności, jakie zalegały jej duszę.

Zwróciła się dumnie do przewodniczącego z zapytaniem, o co jest oskarżona.

— O popełnienie dwóch zbrodni stanu: o wywo-

łanie powstania mieszczan miasta Paryża i uplanowanie królobójstwa, używając łatwowiernego mnicha za posłuszne narzędzie zbrodni.

— To wszystko?

— Tak.

— Panie przewodniczący, wyobraźmy sobie, że ja, Anna Lotaryńska, wywodząca swój ród od Ludwika Świętego, króla Francji, wyobraźmy sobie, że przystanę na to, by Parlament sądził moje przewiny; jakież w takim wypadku czekałaby mnie kara?

— W razie dowiedzenia winy — Wasza Księżęca Mość zapłaciłaby za to... gardłem.

— Oszalałeś waćpan?

— Jestem zupełnie przytomny. W razie dowiedzonej winy, Parlament wypowie się za ścięciem Waszej Księżęcej Mości i to niezwłocznie.

Księżna wydała okrzyk trwogi i rzuciła błagalne spojrzenie w stronę Arnembourg.

Siedział spokojny i uśmiechnięty, a więc pozostawała jeszcze jakaś nadzieja ocalenia.

— W tej chwili wprowadzę człowieka, którego pani namówiłaś do zbrodni, a który teraz żałuje za winę i chce się przyznać do niej publicznie.

— Ten człowiek kłamie bezczelnie!

— To się pokaże.

Mauvepin, który poszedł ze strażnikami po Kubusia, nie wracał. Zapadła męcząca cisza oczekiwania. Nagle faworyt królewski wpadł na salę obrad, jak huragan, wołając:

— Zdrada! Zdrada! Mnich ulotnił się! Tej nocy dokonano podkopu pod celę i uprowadzono go!

Crillon zaklął.

Pani de Montpensier odetchnęła z ulgą.

W tej samej chwili wszedł na salę obrad goniec

królewski i doręczył de Crillonowi pismo od króla. Odczytał je na głos:

„Panie Gubernatorze Paryża!

„Pragnę wybadać osobiście księżnę de Montpensier. Rozpuścić Parlament, jeśli się już zdążył zebrać“.

Leo d' Arnebourg spoglądał wciąż na księżnę i uśmiechał się.

— Tam do kata! Król sam gubi całą sprawę.

— A przede wszystkim siebie, rozległ się głos mężczyzny w progu. Nie mam tu już nic do roboty. Do widzenia, mości de Crillon!

Z temi słowy Henryk Nawarski opuścił Luwr.

## XXVI.

Gdy Henryk III zbudził się po nocy pełnej wrażeń, paż oznajmił mu, że jakiś nieznany rycerz błaga go o posłuchanie.

Będąc pewnym, że jest to wysłannik de Crillona, kazał go wprowadzić.

Wszedł młodzieniec o pięknej, rasowej twarzy, skłonił się i rzekł:

— Jestem Eryk de Crèvecoeur; przybyłem poto, by powiedzieć Waszej Królewskiej Mości całą prawdę, i ryzykuję głową, zwłaszcza w chwili obecnej; poproszę jednak o danie mi królewskiego słowa, że wysłuchasz mnie, Sire, do końca.

— Już je masz, kawalerze.

— Potem możesz mnie, Sire, skazać na ścięcie.

— Słucham więc.

— Jestem pierwszym koniuszym księcia Gwizjusza.

— I ośmieliłeś się Waść stanąć przede mną?

— Sire, człowiek, który robi ofiarę ze swego życia, nie boi się już niczego.

— A jeśli cię każe wygnąć?

— Dałeś słowo, Sire, że mnie wysłuchasz. Przedewszystkiem więc muszę oznajmić, że pan de Crillon

jest panem Faryża, a ksiązę Gwizjusz zbiegł do Nancy. Lecz pan de Crillon nie zatryumfowałby, gdyby nie nagła pomoc króla Nawarry.

— Nie lubię, gdy Gaskończycy wścibiają nos w nieswoje sprawy.

— Przytem król Nawarski szczególnie gorliwie bronił Luwru, prawdopodobnie... myśli... że kiedyś zasiądzie tam... jako... król Francji.

— Panie de Crèvecoeur, strzeż się pan!

— Jeszcze nie skończyłem. Księżna de Montpensier jest wzięta do niewoli.

— Wiem o tem. Stanie przed Parlamentem.

— Lecz Parlament jej nie skarże, bo niema dowodów.

— Zezna mnich, który chciał mnie zamordować.

— Tak! tylko że tej nocy wykradliśmy go z więzienia.

Król wydał okrzyk wściekłości, hrabia de Crèvecoeur mówił dalej.

— To jeszcze nie koniec. Z Langres ciągnie armja katolicka pod dowództwem księcia de Mayenne...

— Mam szwajcarów.

— Lecz oni mają legata papieskiego, który upoważniony jest do rzucenia klątwy na króla Francji za to, że się sprzymierzył z heretykami.

Król zbladł.

— Mój pan, ksiązę Gwizjusz, przysyła mnie do Waszej Królewskiej Mości, abym w jego imieniu zaproponował pokój.

— Ksiązę Gwizjusz ma tupet!

— Wasza Królewska Mość, w żyłach jego płynie krew królewska, a czasy, kiedy wassalowie trjumfowali nieraz nad swymi monarchami, nie są tak dalekie.

— Potrafię złamać rebelję!

— Zdaje mi się, że będzie korzystniej przyjąć warunki, proponowane przez księcia. Książę nie wróci już do Paryża, a wojska katolickie cofną się.

— Czego żąda książę wzamian za to?

— Uwolnienia siostry.

— A jeśli nie przystanę?

— Czeka cię klątwa kościelna, Sire.

— Jedź, kawalerze, do Luwru i doręcz księciu de Crillonowi moje pismo.

Był to ów list, który otrzymał.

---

W kilka godzin po tej rozmowie król był już w Luwrze, rozpuścił urzędowo Parlament, pozwolił księżnej de Montpensier odjechać do Nancy i polecił Crillonowi stawić się na swych pokojach.

Crillon jednak nie zjawił się; zamiast niego stanął przed królem Mauvepin.

— Żyjesz więc, nicponiu! I ty śmiałeś zadrwić ze mnie!

— Bynajmniej, chciałem tylko udzielić Waszej Królewskiej Mości dobrej rady.

— Gdzie jest Crillon?

— Wyjechał.

— Dokąd?

— Pewnie do Pau razem z królem Nawarry.

— Któż teraz będzie dowodzić mymi szwajcarami?

— Jest pan d' Epernon, przyjaciel księcia Gwizjusza.

— Gwizjuszowi zasię od moich spraw!

— Śmiem wątpić! odparł zjadliwie Mauvepin.

— Nie wróci już do Paryża!

— I w to wątpię.

— Jeśli ośmieli się wrócić, skażę go na ścięcie.

— No dwoje babka wróżyła. A teraz pozwól, że cię pożegnam, Sire.

— Jakto i ty mnie porzucasz? Dokąd jedziesz?

— Do moich dóbr.

— Nie wiedziałem, że masz jakieś dobra.

— Obdarzył mnie niemi król Nawarry.

Mauvepin złożył niski ukłon i opuścił pokoje królewskie.

Do pokoju weszła kobieta w czerni, blada i gniewna.

— Moja matko! zawołał król.

— Sire, rzekła królowa, rozległ się pierwszy sygnał żałobnego dzwonu; ziemia rozwiera się, aby pochłonąć ród Welezjuszów. Żegnaj, Sire. Trudno walczyć z przeznaczeniem.



## XXVII.

— Niestety — zawołał Paterne — wasza eminen-  
cja wcale nie ma apetytu.

Jego Królewska Wysokość, monsignor, księżę de  
Bourbon, kardynał, wuj króla Nawarry, odpowiedział  
z westchnieniem:

— Rzeczywiście, nic mi się jeść nie chce, choć ca-  
łe moje śniadanie składało się z filiżanki czekolady.

— A ja wiem, co jest tego przyczyną.

— To czemu nie mówisz?

— Boję się obrazić waszą eminencję.

— Gdy chodzi o żołądek, człowiek przestaje być  
obraźliwy. Pozwalam ci mówić.

Działo się to w roku 1589, w miesiącu czerwcu.  
akurat w pięć lat po wypadkach, które dopiero co opi-  
saliśmy. Stryj króla Nawarry, kardynał Karol de  
Bourbon, kończył w zamku swoim kolację, gawędząc  
z Paternem. Ten ostatni był to grubas trochę żółty,  
zupełnie łysy, odziany w suknię duchowną; przy jego  
eminencji pełnił funkcje kapelana, a potrosze i ka-  
merdynera.

Kardynał liczył lat około 65, wyglądał na 50, przy-  
znawał się do 45-u, co umożliwiała zręczna budowa  
i dobrze uczernione włosy.

— Więc powiadasz, kochasiu, że wiesz, dlaczego cierpię na brak apetytu...

— Wiem. Wasza eminencja nudzi się

— Śmiertelnie. Tylko że nie wiem, dlaczego się nudzę.

— Gdy się jest Bourbonem, o krwi gorącej, tęskni się za zapachem prochu, za szczęką oręza, za trąbką żołnierską... Zamiast kapelusza kardynalskiego, waszej eminencji lepiejby było w żelaznej przyłbicy. Siąść na konia, ruszyć na wojnę...

— Na wojnę? Z kim?

— Wszystko jedno z kim. Można ot, choćby z hugonotami.

— Zlituj się, toć mój bratanek też jest hugonotem.

— Ale wasza eminencja jest księciem Kościoła a wobec tego związki krwi z heretykami nie mogą mieć żadnego znaczenia. Tak, tak. Chciałbym widzieć waszą eminencję w zbroi, z mieczem w rękę...

— Sądzisz, że odzyskałbym apetyt?

— Bez wątpienia. Wystarczyłaby mała wycieczka do Tours i wasza eminencja jadłaby, jak ludożerca.

— Et, za stary jestem, żeby dziś zmieniać zawód. A zresztą, król jegomość potrzebuje mnie do czego innego. Pamiętasz tę procesję, którą z jego polecenia urządziłem?

— Tak, była wspaniała. Ale ja wolałbym, żeby król był kardynałem, a ksiądz kardynał królem. Przynajmniej mielibyśmy monarchę o odpowiednim wyglądzie, postawie, obliczu...

— Pochlebco.

— Bynajmniej, wasza eminencjo. Zresztą, król jegomość niema dzieci, a przecież może umrzeć.

— Ja umrę wcześniej. Jestem starszy od niego.

— Nic nie wiadomo. Wasza eminencja jest zdro-

wy, silny — będzie żył sto lat. A król wąły, wyniszczony.

— Ale gdyby nawet umarł, tron przeszedłby do króla Nawarry.

— Co? do heretyka? O, wasza eminencjo...

Wtem drzwi się otworzyły i na progu stanął marszałek dworu.

— Monsignore. wysłannicy ludu proszą o audjencję.

— Czego chcą?

Marszałek znikł, a w drzwiach ukazał się człowiek obcy.

— Sire — rzekł — przynosimy waszej królewskiej mości koronę Francji.

Kardynał zdumiał i oniemiały spojrzął na Pater-na, jakby chciał powiedzieć:

— Czarownik, czy co?...

## XXVIII.

Wysłańców było trzech. Skoro się przedstawili, kardynał ochłonął z pierwszego wrażenia i jął wypytywać, co się stało. Wyjaśnień udzielał jednooki mieszczanin de Rochibond, jeden z szesnastu naczelników Św. Ligi. Ze słów jego wynikało, że Henryk Walezjusz uznany został za zdrajcę, sprzymierzeńca hugonotów: papież go wyklął, a lud zdetronizował. Dziś cała Francja wita z zapalem nowego monarchę okrzykiem: Niech żyje król Karol X!

— A gdzie jest Henryk? — zagadnął kardynał.

— W Saint — Cloud.

— Sam?

— Nie. Ze swymi dworzanami.

— Ach, tak... W takim razie ma też przy sobie swoich szwajcarów, rajtarję i landsknechtów.

Pan de Rochibond zmarszczył brwi.

— W takim razie — cągnął kardynał — podczas gdy lud będzie mnie witał w Paryżu Henryk wyruszy na czele swoich sił i oblegnie stolicę. Następnie, gdy ją zdobędzie, urządzi pogrom mieszczaństwa, a Karolowi X-mu każe obciąć głowę.

— To się nie stanie — przerwał p. de Rochibond.

— Ale stać się może.

— W każdym razie muszę się poradzić Ducha Św.

Panowie przenocujecie tutaj, a jutro dam wam odpowiedź.

Gdy, po odprawieniu delegacji, Paterne wrócił do kardynała, zastał go głęboko zadumanego nad resztkami niedokończonej wieczerzy. Na widok wchodzącego, ocknął się i zapytał:

— Co ty o tem wszystkiem myślisz, kochasiu?

— Cudowny sen spełniony.

— Ale czy ci, co zdetronizowali Henryka, mieli do tego prawo?

— Oczywiście.

— A mnie się zdaje, że przyjmując koronę, stanę się uzurpatorem. W każdym razie byłbym królem z woli narodu, a nie monarchą z Bożej łaski.

— Vox populi, vox Dei — odezwał się jakiś głos z głębi komnaty.

Paterne i kardynał zerwali się zdumieni.

— Co to za głos? Skąd się odzywa?

— Z góry — zagrzmiało w odpowiedzi.

— Cud, cud — zawołał Paterne, padając na kolana.

— Karolu de Bourbon — ciągnął tajemniczy głos — Bóg ci doradza, abyś przyjął koronę Francji.

— Niech żyje król Karol X — zawołał, żegnając się, Paterne.

Mimo to, na żądanie tajemniczej potęgi, musiał opuścić salę, gdyż dalsze objawienia nastąpić miały bez świadków.

— Nim zakomunikuję wskazówki Boga, musimy, monsignore, porozumiewać ze sobą — mówił głos po wyjściu kapelana, który słuchał tych słów, ucho przyłożywszy do drzwi.

— Bardzo grzeczny ten wysłannik niebios — pomyślał kardynał. — Tytułuje mnie monsignore, choć czemże wobec niego jestem...

— Porozmawiajmy — rzekł głośno — ale chciałbym wiedzieć, z jaką potęgą mam honor?

— Jam duch zamordowanego przed pięcioma laty dobrego katolika. Nazywałem się Mauvepin. (Głos zdawał się teraz dochodzić nie z góry, ale z dołu, jakby z pod podłogi).

— Cóż zatem masz mi do powiedzenia?

— Ostrzegam przed Św. Ligą, opanowaną przez czarta. Jeżeli nawet czyni ona to samo, czego chce Bóg, a więc chce korony dla waszej eminencji — to dla własnych, odrębnych widoków... W Lidze działają dwa obozy. Jeden składa się z fanatycznych nieprzyjaciół króla Henryka, drugi zaś stanowią zwolennicy domu Lotaryńskiego.

— Z jakiej-ż więc racji mnie ofiarowują tron?... Czemu nie szukają księżęcia tego rodu? Wszak żyje książę de Mayenne.

— Bo przeciwna mu jest jego własna siostra, pani de Montpensier, która chciałaby zostać sama królową, poślubiając Karola X.

— Więc to są względy, dla których Liga radaby mnie widzieć na tronie Froncji...

— Tak. Ale jest jeszcze i trzeci argument, ten, z którym Opatrzność mnie tu zsyła. Jeżeli wasza eminencja zostanie królem, lud Paryża będzie mu posłuszny, usunie barykadę, otworzy bramy i Henryk III wkroczy do stolicy.

— I każe mnie ściąć...

— Przeciwnie. Podacie sobie ręce.

— Ale królem już nie będę.

— Byłaby nim wasza eminencja jeszcze mniej, gdybyś poślubił panią de Montpensier.

— Czy znasz ją? — zagadnął kardynał.

— Oczywiście. Garbata, kulawa...

— Ależ...

— Monsignore — zabrzmiał głos surowo — Bóg każe ci być mi posłusznym.

— Cóż więc mam czynić?

— Jutro masz oświadczyć wysłańcom ludu, że wasza eminencja przyjmuje koronę, następnie udać się do Paryża. (Tu głos z pod podłogi przeniósł się na ścianę). W drodze wasza eminencja spotka młodego żebraka, który prosić będzie o jałmużnę. Monsignore zabierzesz go ze sobą, jako lokaja.

— Ależ poco mi on?

— Bo ten żebrak to święty, przeznaczony do wielkich czynów. Ja czuwać też będę nad waszą eminencją. Tymczasem wracam do nieba po dalsze instrukcje.

Tu głos tajemniczego Mauvepin'a zamilkł.

Paterne, który pode drzwiami słuchał całej rozmowy, nacisnął klamkę, by wrócić do kardynała. Wtem z za aksamitnej portjery wysunęła się ręka, która opadła ciężko na ramię kapelana. W tejże chwili ujrzał przed sobą nieznaną postać i usłyszał szydercze słowa:

— Ach, więc podsłuchujesz pode drzwiami?

Byłby krzyknął przerażony, ale poczuł na gardle ostrze włoskiego sztyletu. A nieznajomy szepnął:

— Cicho. Ostrożnie, bo możesz się skaleczyć.

Na głowie Paterne'a, zjeżyły się nieliczne włosy.

Człek ze sztyletem zaprowadził go w drugi koniec sali.

— Nie wiem jeszcze — rzekł — czy cię poderznę, czy zakłuję, ale na razie chciałbym pogadać. Czy dawno jesteś kapelanem kardynała?

— Od lat dwudziestu.

— Musi cię więc lubić, a ty musisz mieć pewien wpływ na niego.

— Zapewne.

— Ponieważ słyszałeś jego rozmowę z duchem niebieskim, co myślisz o tem?

— Sądzę, że jego wysokość powinna przyjąć koronę.

— I poślubić panią de Montpensier?

— O, nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nienawidzę Gwizjuszów. Życzę też Lidze, żeby przepadła: dużo szkody wyrządziła Kościołowi. Słowa te udobruchały nieznajomego.

— Kto jesteś? — zapytał Paterne.

— Mauvepin.

— Co?... Ten duch, który rozmawiał z moim panem?

— Tak jest. Ożyłem.

— W jakim celu?

— Żeby ratować króla.

— Którego? Mamy przecież dwóch: Henryka III i Karola X.

— A ja ożyłem dla trzeciego — odpowiedział chłodno Mauvepin.

— Dla trzeciego? — zdziwił się kapelan.

— Słuchaj-no pan, panie Paterne. Czy dbasz o swoją skórę?

— Naturalnie.

— A o zbawienie duszy?

— Tem bardziej.

— W takim razie masz mnie słuchać, rozumiesz?

Mówiący groźnie spojrział na kapelana, uczynił kilka kroków w głąb sali, a w tejże chwili z wysokości odezwał się głos tajemniczy:

— Słuchać.

— Będę posłuszny — wyszeptał przerażony Paterne.

Teraz nieznajomy wtajemniczył go, że ożył zaled-



wie przed czterema godzinami; że do zamku dostał się w łachmanach żebraka przez kuchnię, a więc nie jest zabity. Poczem udał się z Paternem do izby, która tu od wieków służyła za mieszkanie kapelanom.

Gdy się kardynał obudził, kazał wezwać delegatów i rzekł do nich:

— Panowie, radziłem się niebios. Polecono mi zostać królem Francji.

Delegaci wydali okrzyk radości; a w godzinę potem nowy monarcha był już w drodze do Paryża.

## XXIX.

Bawiący w Saint — Cloud Henryk III, dowiedziawszy się od p. d' Epernon o powołaniu na tron Francji kardynała, zawrzał strasznym gniewem, połączonym z rozpaczą. Otucha weń wstąpiła i pragnienie walki dopiero z chwilą zjawienia się de Crillona, który wyraził gotowość powrotu do szeregów monarchy. Wciągu pięciu lat wielki wojak trzymał się zdala od dworu, nie godząc się z postępowaniem Henryka wobec domu książąt Lotaryńskich. I obecnie zapatrywań swych nie owijał w bawełnę, lecz śmiało gadał królowi w oczy, co myśli o jego czynach.

— Wasza Królewska Mość — mówił — już od dłuższego czasu prowadzi grę zupełnie fałszywą i pozbywa się posiadanych atutów. Całe szczęście, że jeden z nich sam dziś do rąk powraca.

— Mówisz o sobie?

— Nie. Jeżeli Wasza Królewska Mość uważa mnie za swój atut, w takim razie posiada ich dwa.

— A kto jest ten drugi?

— Kardynał de Bourbon, który zgodził się przyjąć koronę z rąk ludu.

— Ty to nazywasz atutem?

Król szeroko otworzył oczy, a de Crillon ciągnął dalej:

— Radziłbym przywołać do siebie bawiącą w Amboise królowę — matkę. Opuściła dwór, bo Wasza Królewska Mość lekceważył jej rady. Jestem pewien, że obecnie byłaby za odroczeniem oblężenia Paryża.

— Ależ w jakim celu?

— Czy przypominasz sobie, Sire, Mauvepina?

— Biedny Mauvepin — westchnął Henryk — miał rozum i umiał mnie bawić. Był to poza tem do skonały polityk.

— On też potrafiłby wytłomaczyć Waszej Królewskiej Mości, jak korzystne będzie pozostawienie dziś ludowi Paryża króla prowizorycznego.

— Ale Mauvepina niema. Opuścił mnie nie wdzięcznik.

— Ha, kto wie?... Może go jeszcze zobaczysz, Sire.

— Darowałbym mu wszystkie winy.

— Dziękuję, Sire... — odezwał się głos w progu komnaty.

— Co?... Jesteś tutaj, Mauvepin? — zawołał Henryk uradowany.

— Jestem. Przybywam z Gaskońji, obarczony poselstwem do Waszej Królewskiej Mości w paru sprawach. Przedewszystkiem od królowej — matki.

Ponieważ monarcha nie kazał Mauvepinowi usiąść, zabrał sam miejsce, nie czekając na zaproszenie, co oburzyło pana d' Epernon'a, zwolennika ścisłej etykiety.

— Wasza Królewska Mość wybaczy — rzekł Mauvepin — ale osiem dni nie zsiadałem z konia i srodze jestem zmordowany.

— Może zjesz ze mną śniadanie? — rzekł król, zachwycony widokiem dawnego błazna.

— Chętnie, ale pod warunkiem, że i de Crillon będzie zaproszony, byle tylko ks. d' Epernon nie było.

— Panie... — fuknął obrażony książę.

— Ależ ja nie chciałem pana obrażać. Mamy jednak obaj z Crillonem kilka poleceń zupełnie sekretnych do zakomunikowania Jego Królewskiej Mości.

Gdy zasiedli do śniadania, odezwał się Mauvepin.

— Kardynał de Bourbon powołany został przez lud paryski na tron Francji.

— Wiem już o tem — odpowiedział Henryk.

— Tak. Ale nie wiesz o tem, Sire, iż kardynał w pierwszej chwili odmówił i zgodził się przyjąć koronę dopiero z porady jednego z przyjaciół Waszej Królewskiej Mości.

— Dziwny przyjaciel. Któż to taki?

Mauvepin nalał sobie dużą szklanekę wina, wychylił ją do dna i rzekł:

— Ja.

Król zdumiał.

— Księżna de Montpensier szuka męża, Paryżanie szukają króla, postanowiłem przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie.

— Nie lubię zagadek.

— Paryż jest dziś pod urokiem księżny. Gdyby jej nie dać kardynała, mogłaby poślubić pierwszego lepszego księcia i uczynić go królem, aby zostać królową. Poszłoby jej to tem łatwiej, że np. elektor Palatynatu, lub któryś z arcyksiążąt wkroczyłby do Paryża na czele poważnej armji.

— Rozumiem. Więc to na twoje żądanie kardynał zgodził się zostać królem.

— Nie. Z rozkazu nieba. Wasza Królewska Mość pamięta, jakem umarł.

— Warjacie, zażartowałaś ze mnie.

— W interesie Waszej Królewskiej Mości. W tym

samym celu zostałem teraz duchem, który oświecił rozum kardynała. Ten sam również duch dyktować mu będzie, jak ma rządzić Francją.

— Tylko czy księżna zechce być posłuszna głosowi nieba?

— Już ja to biorę na siebie.

— Hm, zanim ty to załatwisz, możebym spróbował wejść siłą do Paryża?

— Lepiej poczekać, aż tu powróci królowa — matka i król Nawarry.

— A poco mi ten hugonot?

— Bądź co bądź prawy zeń następcą tronu.

— Ale papież...

— Już i tak wyklął Waszą Królewską Mość. Nie takie to straszne. Zresztą, papież zdejmie klątwę, skoro Wasza Króлева Mość, nawet w towarzystwie heretyka, wejdzie do Paryża na czele zwycięskiej armji

Tu Mouvepin złożył serwetkę, pochwalił królewską kuchnię i zaczął się żegnać.

— Muszę — rzekł — wracać do Paryża. Głos nieba musi być na stanowisku.

Brama Saint — Honoré, jak wszystkie bramy stolicy, szczelnie była zamknięta i strzeżona, Mapvepin jednak przebył ją bez trudu, pokazawszy tylko karteczkę z podpisem Paterne'a.

Piotrusia wciąż zajmowała ten sam pokój, co przed pięciu laty. Nic też nie straciła z dawnej swej urody. Na widok wchodzącego Mauvepina, z radością rzuciła mu się na szyję.

Rozpiął pas, odłożył kapelusz i siadł na brzegu łóżka.

— Czy ci nie przykrzy się w tej ponurej dzielnicy?

— Wszędzie mi się przykrzy, gdzie ciebie niema.

— A gdybym ci ofiarował gdzieindziej piękny apartament?

— Kpisz ze mnie? Skarb znalazłeś?

— Kto wie... Czy widziałaś księżnę de Montpensier?

— Królowę barykad?... Prawdziwą władczynię Paryża?... Nie raz drżałam na jej widok ze strachu o twoją skórę.

— Otóż zamierzam uczynić cię jej pokojową.

— Zwarjował. Ani nie jestem szlachcianką, ani nie mam się w co ubrać...

— Ale masz ręce księżniczki, a całą postać ładną i rasową. Łatwo ci znajdziemy i przodków.

— Moich?

— Tak. Nazywasz się Izabela de Chamberville. Ojciec twój zginął w służbie księcia Franciszka Lotaryńskiego... Księżna de Montpensier przyrzekła pani d' Aigremont twojej ciotce, przeorzy klasztoru w Lotaryngji, że przyjmie cię jako pannę respektową, ponieważ jesteś sierotą, pozbawioną dziedzictwa.

— Skąd ci to wszystko przyszło do głowy?

— Zaraz ci opowiem. Jadąc wczoraj do Saint Cloud, spotkałem piękną pannę, płaczącą na drodze. Odpowiedziała mi, że, jako sierota, została wyprawiona do Paryża na dwór księżny de Montpensier. Tymczasem szwajcarzy królewscy nie wpuścili jej do miasta, a stangreta z końmi aresztowali. Otóż odstawiłem tę dziewczynę do klasztoru w Chaillot i poleciłem — w interesie króla — zatrzymać ją tam, i nie wypuszczać. Następnie ulokowałem w więzieniu jej stangreta, papiery zaś, które wiozła, będą służyły tobie, byś mogła zostać respektową księżny de Montpensier. Oto te dokumenty, a tu dziesięć pistolew, za które ubierzesz się w suknie, godne szlachcianki. Następnie udasz się

do Luwru i zameldujesz się księdzu Paternowi, kapelanowi króla Karola X.

— A ta biedna dziewczyna?

— Jest w klasztorze i bardzo jej tam będzie dobrze.

— A stangret?

— Siedzi w Saint — Cloud. Kazałem go traktować jaknajlepiej.

— Ale jednak prędzej, czy później prawda wyjdzie na jaw.

— Tak, lecz wtedy nie będzie powodu do obawiania się pani de Montpensier.

— Dlaczego?

— Bo wówczas już ulokujemy ją w wieży Vincennes. A tymczasem żegnaj.

— Uciekasz? Dokąd?

— Do Luwru.

— Wpuszczą cię tam?

— Owszem. Należę do dworzan nowego króla.

Mauvepin zastał Paterne'a w jego pięknym apartamencie. Sen sprawdził się. Kardynał jest królem, radośnie powitany przez ludność Paryża. Lada dzień papież ma zwolnić go z przysięgi kapłańskiej, poczem nastąpi ślub z księżniczką de Guise, księżną de Montpensier...

Ledwie nowy król zainstalował się w swoich apartamentach, złożyła mu ona wizytę. Ubrana była czarno na znak żałoby po braciach: wielkim księciu Gwizjuszu i po kardynale Lotaryngji.

— Najjaśniejszy panie — rzekła — w ręce twoje składam władzę, którą dotąd piastowałam. Wasza Królewska Mość wie najlepiej, jak jej użyć dla dobra państwa i Kościoła.

Potem odeszła z godnością, jak abdykujący monarcha. Kardynał chciał coś odpowiedzieć, ale zani-

mówił, olśniony pięknnością tej 34-letniej kobiety, wyglądającej wciąż na 20-letnią dziewczynę. Pozatem oczekiwał głosu nieba, ale i ono również oniemiało. Wogóle skąpiło obecnie rad i dwa razy tylko kardynał zdołał usłyszeć jedyne słowo: „Czekaj“.

Paternowi wiodło się teraz cudownie: wszyscy kłaniali mu się nisko, powszechnie mówiono, że niebawem zostanie pierwszym ministrem; dano mu na mieszkanie dwie piękne komnaty, należące ongiś do faworytów Henryka III, pp. de Quélus i d' Epernon. Mimo wszystko, dręczył wciąż kapelana fakt niewolniczej zależności od Mauvepina, któremu poprzysiągł posłuszeństwo, a wiedział, że jego złamanie — to puginał w gardle. Zresztą, Paterne, jako człowiek pobożny, rozumiał, że jeżeli nie dotrzyma zaprzysiężonego słowa, czeka go ogień piekielny. Smutek Paterne'a powiększyło to, iż wiedział, że królewskość Karola jest tylko godnością konwencjonalną, podległą woli mistrza Mauvepina.

Obecnie stanął przed smutnym kapelanem. w czarno - purpurowych barwach oficera królewskiego .

— Co masz mi pan jeszcze do rozkazania? — zapytał kapelan, podnosząc oczy z nad przerzucanej biblii.

— Przynoszę wiadomości z Saint — Cloud. Król jest zdrowy...

— Jaki król?

— Panie Paterne, jesteśmy sami. Powinien pan wiedzieć, że mamy jednego tylko prawdziwego króla. Jest nim Henryk III. Zresztą, mówiłem mu o tobie jaknajlepiej i masz w nim przyjaciela. Nawet zamierza uczynić cię biskupem. I to biskupem Paryża.

— Doprawdy?... A monsignore zostanie pierwszym ministrem...



— Tak jest.

— Tylko że monsignore jest zakochany w pani de Montpensier...

— To i dobrze. Pan powinienes nawet skłonić monsignora, by ją poślubił.

— A co na to król Henryk III?

— Pan jesteś naiwny. Księżna chce zostać królową. W tym celu należało kardynała uczynić w jej oczach monarchą. Uspokojona księżna szykuje się do ślubu... Te formalności wymagają czasu. Nieprawda?

— No tak, mniej więcej miesiąca.

— Doskonale. Nam nawet tyle nie potrzeba, aby ją ulokować w wieży Vincennes, no i wypędzić Lotaryńczyków z Paryża.

— Ach, więc do ślubu nie dojdzie?

— Nie, ale cały ten czas księżna bróździć nam nie będzie. Pan i ja spokojnie sprawować możemy rządy za pośrednictwem kardynała.

— Dobrze, ale czy możesz mi pan przysiąc?

— Na co?

— Na zbawienie wieczne.

— Że co?

— Że się mojemu panu żadna krzywda nie stanie a ja zostanę biskupem Paryża.

— Owszem — odrzekł z powagą Mauvepin — na ten udział w raj, który mnie się należy — przysięgam.

— A więc teraz — zawołał wesoło kapelan — z dobrej woli będę ci posłuszny. Czego pan żądasz dziś odemnie?

— Przedewszystkiem chcę tu, w tych pokojach nocować.

— Dlaczego?

— Bo sąsiadują z apartamentem kardynała, któremu głos z nieba musi znów kilku rad udzielić. Po-  
zatem — zjawi się tu młoda osoba, panna de Cham-  
berville. Zaprowadzisz ją pan do pani de Montpensier.

### XXX.

Od siedmiu dni księżna mieszkała w pałacu Saint — Paul, dokąd wniosła się z porady swego cichego wielbiciela, hr. Eryka de Crèvecoeur. Od 48 godzin kardynał de Bourbon (stary dureń, jak go tytułował hrabia) władał Paryżem, a kandydatka na królowę nie rezydowała jeszcze w Luwrze. Dzień kończył się. Dzień, wypełniony pracą, bo księżna oddawała się jej zapamiętanie, niczem urzędujący dyplomata. Zbiegali się u niej naczelnicy Św. Ligi, tu nadchodziły raporty o stanie umysłów w stolicy. Centrum politycznego życia Paryża pulsowało nie w Luwrze, ale tu, w pałacu Saint — Paul. — Wszyscy już się rozeszli, gdy sługa zameldował kapelana króla jegomości. Księżna wprawdzie widziała w nim dziada kościelnego, ale wobec wpływu, jaki miał na kardynała, postanowiła traktować go życzliwie.

— Co słyhać? — zapytała, podając Paterne'owi rękę do pocałowania.

— Najjaśniejszy pan błaga waszą książęcą mość, aby raczyła przeprowadzić się do Luwru. Apartament jest już przygotowany. Ale, à propos, czy wasza wysokość nie oczekuje przybycia panny respektowej?

— Owszem, owszem. Mój nieboszczyk brat, kardynał, polecił mi pewną ubogą dziewczynę, której ojciec zginął w służbie naszego domu.

— Otóż właśnie zjawiła się ona w Paryżu, a sądząc, że panią zastanie w Luwrze, zgłosiła się do mnie. Pozwoliłem sobie ją tu przyprowadzić.

Kapelan wyszedł na chwilę i wnet powrócił z Piotrusią, ubraną — według wskazówek Mauvepina — tak, jak się odziewają panny w Lotaryngji. Śliczna Piotrusia spodobała się księżnie i doskonale odegrała swą rolę. Dowiedziała się od p. de Montpensier, że odtąd stale będzie pozostawała przy jej boku i nocować ma w pokoju sąsiednim. Jednocześnie usłyszał Paterne, że księżna pani również zamierza uczynić go biskupem Paryża.

### XXX.

W dwie godziny potem król Karol X spożywał kolację w towarzystwie pani de Montpensier, niczem para monarsza z baśni czarodziejskiej. Wina były wyborne, potrawy znakomite, księżna piekielnie ponętna, król zachwycający, jakby mu 30 lat conajmniej ubyło. W końcu jednak wypadało rozmowę przenieść na sprawy polityczne.

Tu Karol X wyznał, że ma pewne skrupuły, iż zagarnął tron żyjącego jeszcze monarchy. Lud go wprawdzie zdetronizował, ale jest to czyn nielegalny wobec prawowitego władcy.

— Czy jednak Bourbonom nie przysługują te same prawa, co Welezjuszom? zauważyła księżna.

— Zapewne — odparł monsignor — ale brak nam do wylegitymowania praw naszych jednego dokumentu, który zaginął.

— A gdyby się odnalazł? — zapytała pani de Montpensier — czy już nie dokuczałoby sumienie Waszej Królewskiej Mości?

— Napewno — nie!

— W takim razie, Sire — odparł — błagać będę Boga, by mi wskazał, gdzie należy tego dokumentu szukać.

Po tych słowach księżna przywołała paziów i pożegnała Karola X. Pokoje swoje zastała już przygotowane przez pannę Izabelę de Chamberville, której gorliwie w tem dopomagał poczciviwy kapelan królewski. Paterne zauważył, że młodej osobie niebardzo dogadza, iż do jej sypialni dostać się można nie inaczej, jak przez pokój księżny.

Skoro pozostały same, p. de Montpensier obeszła swe komnaty, drzwi wejściowe własnoręcznie zamknęła i klucz wsunęła pod poduszkę. Położyła na stoliku nocnym dwa małe pistolety, kazała sobie przeczytać rozdział z biblji i położyła się do łóżka.

W sypialni Piotrusi było tylko jedno okno, wychodzące na wewnętrzne podwórze Luwru. Jasne światło księżyca wpadało przez szyby do pokoju. Piotrusia usnąć nie mogła, marząc o Mauvepinie, gdy raptem cień jakiś ukazał się za oknem. Poznała sylwetkę i powstała cichutko, by okno otworzyć. Mauvepin stał na drabinie i jednym susem znalazł się w pokoju. Rozejrzał się i otworzył wielki kufer, widoczny w blasku księżyca.

— Za chwilę — rzekł — usłyszysz głos, wychodzący ze ściany lub sufitu. Udawaj, że go nie słyszysz, choćby się księżna zbudziła i pytała, co się dzieje.

Wsunął się do kufra, a dziewczyna wróciła do łóżka.

Po dniu, pełnym zajęć, pracy i wzruszeń, księżna twardo i szybko zasnęła. Nagle ujrzała we śnie brata ukochanego Henryka, broczącego krwią na kaflowej posadzce zamku de Blois. I w tejże chwili usłyszała jego głos: „Pomścij mnie, pomścij mnie“...

Z krzykiem usiadła na łóżku.

— Bracie mój...

Wtem znów odezwał się jego głos, ale jakby z zewnątrz dochodzący:

— Anno, siostró moja, czego żądasz odemnie?

W pokoju było pusto. Księżna opadła na poduszki, gdy oto znów usłyszała wyraźnie:

— Więc niczego nie żądasz odemnie, Anno?

Pot zimny oblał czoło p. de Montpensier.

— A przecież to ja, twój brat ukochany... — mówił głos, dobywający się jakby z pod podłogi. Po chwili zaczął padać z góry, z pod sufitu:

— Droga Anno, duchem już jestem bezcielesnym, ale Bóg pozwolił mi tu przybyć, bo jestem ci potrzebny. Ja wiem, gdzie jest pergamin, który zginął Bourbonom.

— Jakto, wiesz? — zawołała, zapominając o strachu.

— Ty sama tylko możesz ten dokument odszukać. Znajduje się on w kościele Saint — Germain — l' Auxerrois.

— Ale w jakim miejscu?

Głos zdawał się oddalać.

— Jutro o północy wyjdiesz sama jedna z Luwru, udasz się do kościoła Saint — Germain. Drzwi otworzą się same. W kościele usłyszysz mój głos, który cię poprowadzi we właściwe miejsce. Teraz żegnaj Ucichło.

— Hej, mała... — krzyknęła księżna.

Piotrusia wyskoczyła z łóżka.

— Słyszałaś?

— Słyszałam, że pani coś mówiła przez sen.

— A innego głosu nie słyszałaś?

— Żadnego.

— Możesz odejść.

Do godziny drugiej księżna się modliła, poczem znów zasnęła snem kamiennym. Mauvepin wyjął z kieszeni jedwabną drabinę. Jeden koniec przymocował do łóżka Piotrusi, drugi wyrzucił za okno.

— Gdy będę na ziemi, odwiąż i wyrzuć mi go.  
Na dole stał kapelan i trzymał koniec drabinki.

— Daj mi pan przepustkę przez bramę Saint —  
Honoré.

Wstąpili do pokoju Mauvepina, mieszczącego się na strychu jednej z oficyn pałacu. Tu przebrał się on w habit mnicha — Dominikanina i podyktował kapelanowi treść przepustki: „Rozkaz do wszystkich władz cywilnych i wojskowych dawania wolnego przejścia bratu Justynowi, kwestarzowi klasztoru oo. Dominikanów“.

Mauvepin schował pod habit dwa pistolety i puginał, nasunął kaptur na oczy i pożegnał zdumionego Paterne'a.



### XXXI.

Henryk III wezwał de Crillona. Miał złe sny i wogóle sypiał niedobrze ostatnimi czasy. — To dziwne, wił de Crillon: w Saint — Cloud lepiej się sypia, niż w Luwrze. Król był innego zdania. Niecierpliwiło go, że mu radzą czekać na króla Nawarry.

— Czyż to nie upokarzające dla króla Francji, nie móżdź zjawić się we własnej stolicy bez tego hugonota?

— Ależ i na p. Montmorency zaczekać musimy. Inaczej, za dużo krwi francuskiej wypadłoby nam przelać.

Zameldowano mnicha, który pragnie mówić z królem.

Wszedł i odchylił kaptur.

— Mauvepin...

— We własnej osobie.

— Mówiliśmy tu, że w ciągu trzech dni możnaby natrzeć na Paryż.

— Nawet prędzej. Trzebaby się jedynie uporać z głównodowodzącym Paryża, to jest z księżną Montpensier.

— Ja mam na babę radę — rzekł Mauvepin.

— Jaką?

To zaczął opowiadać o intrydze, którą przeprowa-

dził, udając ducha nieboszczyka księcia, i o tem, że duch ten wyznaczył jej schadzke nocną w kościele. Wszystko ukartowane, gdy się tam zjawi, wejdzie do podziemia, którego drzwi zawrą się za nią na zawsze.

— Nie mogą na to przystać! zawołał król.

— Wiedziałem o tem, a więc posiedzi tam ostatecznie kilka dni, a gdy się wszystko uspokoi, wypuscimy ją. Znajdzie w podziemiu żywność i wodę, więc najwyżej dokuczy jej samotność.

— Wiesz co, mój chłopcze, że za ten pomysł należy ci się tytuł margrabiego, zawołał król uradowany.

— Dawno już na to czekam!

— A kiedy już wszystko będzie załatwione, zjavisz się znowu do mnie w zakonnych szatach, aby mi oznajmić o pomyślnym wyniku.

— Dobrze, Sire,

---

Tymczasem pani de Montpensier przygotowywała ostatnie swe posunięcie.

Udała się do klasztoru oo. Dominikanów, w którego celi więziennej trzymano Kubusia, bicząc go codziennie rzekomo z polecenia króla.

Chudy był, chory i prawie zupełnie obłąkany. Gdy księżna weszła do jego celi rzucił się jej do nóg, wołając:

— Jesteś! Jesteś! nareszcie!

Zaczął całować skraj jej szat, lejąc łzy.

Kubusiu! rzekła, kładąc mu rękę na głowie:

— Wstań i idź za mną! Niosę ci wolność!

## XXXII.

Gdy noc zapadła, księżna de Montpensier, po długich naradach ze swymi stronnikami i po rozmowie z Kubusiem, pożegnała wszystkich ruchem ręki, a gdy została sama, owinęła się w płaszcz i udała się do katedry. Drzwi wejściowe zastała otwarte, pchnęła je, weszła do wnętrza, zatrzymała się we wnęcie muru i zapytała drżącym głosem.

— Duchu brata mego, gdzie jesteś?

— Tu, przy tobie... zabrzmiała odpowiedź. Weź, siostró moja, stojącą we wnęcie świecę, idź na lewo, skreśl do drugiej wnęki... Widzisz podniesioną płytę kamienną?

— Tak.

— Czy widzisz schody?

— Tak.

— Wejdź do podziemia, a znajdziesz tam pergamin, o którym ci mówiłem.

---

Plan Mauvepina był dobrze obmyślany, nie przewidział jednak biedak tego, że szpiegowie księżnej mieli bystre oko. Eryk de Crèvecoeur, który przeniknął jego grę, zaczął się w kościele i w chwili decydującej zaszytyletował nieszczęsnego wesołka.

Księżna de Montpensier, która nie rozumiała, o co chodzi, stanęła blada i drżąca..

Eryk de Crèvecoeur zwrócił się wtedy do Kubusia, który mu tam towarzyszył:

— Możesz ubrać się w jego zakonne szaty (Mauvepin był w stroju zakonnika) i iść jutro do Saint-Cloud. Król Henryk ma teraz zwyczaj przyjmować co rano mnicha.

---

Króla Henryka III zbudził dźwięk trąb i kotłów. Na pokoje królewskie wdarł się de Crillon, wołając:

— Sire! Król Nawarry przyjechał!

Król ziewnął, przeciągnął się i mruknął:

— Mój kuzynek ma wiejskie obyczaje. Któż to widział spadać komuś na głowę o tej porze. Przerwał mi taki przyjemny sen. Czy masz jakie nowiny od Mauvepina.

— Nic. Niepokoi mnie to trochę.

— Przesada, mój drogi.

Król narzucił na siebie ubranie i wyjrzał przez okno.

Oddziały dzielnych Bearneńczyków defilowały pod oknami. Żołnierze i konie byli na schwał. Na czele jechał Henryk Nawarski w szarej kurtce z białym piórem u hełmu.

Król ożywił się, zaczął rzucać rozkazy, by przygotowano śniadanie w namiocie. Na śniadanie, które miał spożyć w towarzystwie króla Nawarry, zaprosił również Crillona.

Starannie ubrany, ufryzowany i woniejący perfumami wyszedł król wreszcie na powitanie kuzyna. Oddziały Bearneńczyków wrzasnęły, jak jeden mąż:

— Niech żyje król!

Króla Nawarry zbliżył się do króla Francji i przyklęknął, jak na dobrego wassala przystało.

Henryk III podniósł go z ziemi i, biorąc w ramiona, rzekł:

— Uściskajmy się, mój bracie i kuzynie!

— Sire, zaszczyt to wielki dla mnie, za który serdeczne składam dzięki. Pozwól mi, Sire, ofiarować ci pomoc w tych ciężkich dla Francji dniach. Niech miecz bearnieński przysłuży się do podniesienia sławy i potęgi tronu francuskiego.

— Dziękuję ci, bracie.

Zaproszeni przez króla współbiesiadnicy, idąc za jego przykładem, usiedli do stołu. Rozmowa potoczyła się o wypadkach dni ostatnich. Król zaczął opowiadać o podstępie Mauvepina, gdy nagle wdali ukazała się postać mnicha.

— To on! zawołał król. A widzisz, mój Crillonie, że nic mu się nie stało.

— Nic nie wiadomo...

— Mnich! Mnich! podawali sobie z ust do ust żołnierze.

Zakonnik zbliżył się z twarzą zasłoniętą kapturem.

— Wejdz, wejdz, mój drogi. Właśnie rozpoczęliśmy naradę wojenną.

Zakonnik wszedł do namiotu, lecz nie zbliżył się do stołu, tylko stanął na uboczu.

— Rozumiem, chcesz ze mną pomówić sam na sam, roześmiał się król, przyzwyczajony do różnych wybryków Mauvepina .

Wskazał mu ręką na wnętrze namiotu, zawieszoną kotarą. Zaledwie jednak kotara za nimi zapadła, rozległ się bolesny okrzyk króla!

— Nieszczęsny! Zamordował mnie!

Wszyscy rzucili się na miejsce wypadku. Brózący krwią Henryk III trzymał się jeszcze na nogach, w brzuchu miał straszną, bluzgającą krwią ranę. Przy nim klęczał mnich ze sztyletem w rękę. Kaptur miał

odrzucony, a z wychudłej, szerniałej twarzy patrzyły nieprzytomne, tchnące nienawiścią oczy.

— Jakób Clément! zawołał de Crillon, poznając mordercę.

Strażnicy królewscy wpadli za pułkownikiem, topiąc w nieszczęśniku ostrza swych szpad.

Padł na ziemię i umierając wyszeptał:

— Zwiódła mnie!... Nie będę nigdy...

Skonał.

Henryk Nawarski porwał umierającego króla Francji w ramiona:

— Bracie, wybełkotał król Francji zamierającym już głosem, twoja matka miała słuszność, Walezjusze muszą ustąpić miejsca *wam* — Bourbonom.

— Amen! szepnął de Crillon, ocierając jedyną łzę żalu, jaką wylano, po tym, który reprezentował święty majestat władzy monarszej, piastowanej przez ród Walezjuszów.

K O N I E C .

B. Kędzielski & S-ka  
KSIĘGARNIA I C... NIA  
Warszawa, ul. Mar. Zamkowska 53



P. T. Prenumeratorzy proszeni są  
o przysyłanie na wszelkie reklamacje  
25 gr. na odpowiedź, a na zmianę  
adresu 50 gr. w znaczkach pocztowych.

**ADMINISTRACJA**  
**Biblioteki Nowości w Warszawie**

PONSON DU TERRAIL

# PIĘKNA ZŁOTNICZKA

„Piękna Złotniczka“ po raz pierwszy tłumaczona na język polski (a właściwie opracowana), odznacza się, jak wszystkie utwory Ponson du Terrail'a, niezmierną żywością pióra i barwnem ujęciem tematu.

Życie króla Henryka IV Bourbona zostało opisane w 4 oddzielnych powieściach p. t.

Piękna Złotniczka	3 zł.
Trucicielka na tronie	3 „
Noc św. Bartłomieja	3 „
Królowa Barykad	3 „

z których każda kończy się pewną erą króla Henryka, by w ten sposób czytelnik, kupujący książkę miał w niej oddzielną całość.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



M. CAREW

# WYPADEK CZY ZBRODZIA

**Cena 3 zł.**

== i ==

# MIŁOŚĆ ŚPIEWAKA

**Cena 2 zł.**

Słynny śpiewak operowy, Włoch z pochodzenia, zakochuje się w lady angielskiej i z całym temperamentem południowca rzuca się w otchłań miłości. Na tem tle powstają różne komplikacje, i żeby wyjaśnić, czy zaszedł wypadek, czy zbrodnia, w starym zamku lordowskim zjawia się policja...

**DO NABYCIA WE WSZYSTKICH  
KSIĘGARNIACH**

DO

BIBLIOTEKI NOWOŚCI

w Warszawie

**Senatorska 29**

**(Galerja Luxemburga).**

